12 stron

Cena wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego 10 zł.

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 20 października 1946 r. | Nr 42 (99)

# List otwarty Henry Wallace'a do prezydenta Trumana

## w sprawach polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych

*W osobie Henry Wallace'a, o którego dymisji doniosła niedawno prasa, opuścił gabinet Stanów Zjednoczonych ostatni z bliskich współpracowników prez. Roosevelta. Tym samym przestał być w rządzie amerykańskim personalnie nawet reprezentowany program new deal u. W amerykańskich stosunkach zarówno wewnętrzno jak i zewnętrzno-politycznych oznacza więc dymisja Wallace'a przekroczenie Rubikonu i rzucenie kości w grze, której doniosłość w skali światowej docenia dziś szary człowiek w niemniejszym stopniu niż dyplomaci i sternicy naw państwowych. — Nic więc dziwnego, że opublikowanie na łamach „The New York Times" pełnego listu otwartego Wallace'a do prez. Trumana, którego przekład podajemy poniżej in extenso, stanowi nie tylko w Stanach Zjednoczonych wydarzenie dnia i że list ten, mimo iż w szczegółach budzić może pewne zastrzeżenia, stał się osią wielkiej dyskusji politycznej wszędzie tam, gdzie zagadnienia polityczne chwili widziane i rozważane są w ich wielkich, całość spraw obejmujących zarysach.*

Drogi Panie Prezydencie!

Mam nadzieję, że wybaczy mi Pan ten długi list. Jeżeli chodzi o mnie, nie cierpię ani pisać, ani otrzymywać długich listów.

Moim jedynym usprawiedliwieniem jest fakt, że sprawa, którą poruszam, jest bardzo ważna — być może najważniejsza w tej chwili na świecie. Rozprawialiśmy o tym w ostatni czwartek i po piątkowym posiedzeniu gabinetu wyraził Pan życzenie poznania mojej opini.

Jestem coraz bardziej zaniepokojony tendencją stosunków międzynarodowych od chwili zakończenia wojny, a jeszcze bardziej niepokoi mnie widocznie wzrastające przekonanie w społeczeństwie amerykańskim, że zbliża się nowa wojna i że jedynym sposobem, w jaki możemy jej zapobiec, jest uzbrojenie się po zęby. Cała jednak przeszłość wskazuje na to, że wyścig zbrojeń nie prowadzi do pokoju, lecz do wojny. Najbliższe miesiące mogą być krytycznym okresem, który zadecyduje o tym, czy świat cywilizowany zostanie zniszczony w przeciągu pięciu czy dziesięciu lat, potrzebnych kilku narodom do uzbrojenia się w bomby atomowe. Dlatego chcę Panu przedstawić mój pogląd na to, jak można by odwrócić obecną tendencję prowadzącą do konfliktu.

Może wyda się to Panu dziwne, w dalszej części listu, że tak jestem zafrasowany w tej szczególnej chwili, kiedy Konferencja Ministrów Spraw Zagranicznych osiągnęła realny postęp w ustalaniu traktatów pokojowych dla kilku krajów wschodnio-europejskich i dla Włoch. Wygłoszono już optymistyczne sądy, że dalszy postęp może być osiągnięty przez rokowania na tej samej podstawie, mimo że pozostałe europejskie punkty sporne są znacznie trudniejsze od tych, co do których osiągnięto porozumienie.

Oceniam w pełni dokonane wysiłki i cierpliwość okazaną przez różnych naszych przedstawicieli, którzy w ciągu ostatnich kilku lat prowadzili układy z Rosjanami. Zdaję sobie sprawę z parokrotnego zaostrzenia sytuacji, które tolerowali, jak też z widocznego braku konsekwencji u przedstawicieli rosyjskich. Uważam, że te właśnie trudności stwarzają dla niektórych z nas, którzy obserwują z zewnątrz bieg wypadków, konieczność wypowiedzenia swych opinii.

Tak się składa, że jako sekretarz Ministerstwa Handlu rozmawiam z wieloma businessmenami i stwierdzam, że zastanawiają się oni głęboko nad pozycjami budżetu Stanów i nad ciężarem długu narodowego. Na następny rok budżetowy, a za-

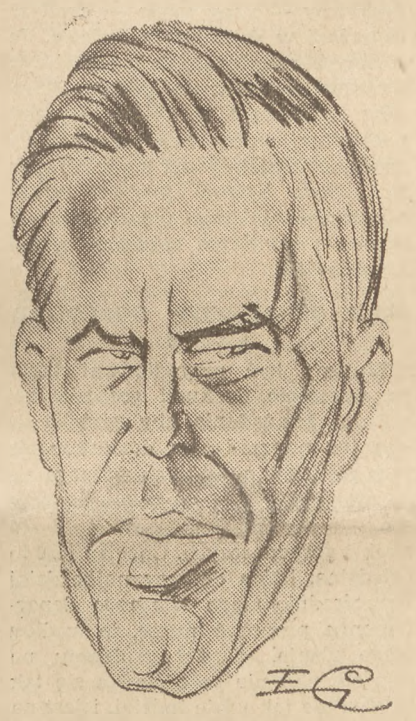

Wallace

tem i na najbliższy rok kalendarzowy, najpoważniejszą pozycję wydatków federalnych stanowi obrona narodowa.

Dla przykładu podaję, że suma ogólna preliminarza federalnego na rok budżetowy 1947, przedłożonego Kongresowi w ramach urzędowego budżetu, wynosiła 36 miliardów dolarów. Z całego budżetu około 13 miliardów przeznaczono wyłącznie dla Departamentów Wojny i Floty. Dodatkowo 5 miliardów na operacje likwidacyjne w związku z poprzednią wojną. 10 miliardów są to odsetki od zadłużenia publicznego i zasiłki dla weteranów, co stanowi głównie dalsze koszty minionych wojen. Te pozycje sięgają 28 miliardów dolarów czyli 80% ogólnej sumy wydatków.

Zrozumiałe, że redukcja budżetu Stanów na wielką skalę wymagałaby obcięcia sum przyznanych wojskowości. Sumy te są obecnie dziesięciokrotnie większe niż w latach po r. 1930. W budżecie na r. 1938 sumy przeznaczone na obronę narodową wynosiły niecały bilion dolarów w porównaniu z 13 miliardami na bieżący rok budżetowy. Tak więc, z czysto praktycznego punktu widzenia, w interesie gospodarki i społeczeństwa amerykańskiego leży zorganizowanie świata na zasadzie pokoju, aby zredukować zupełnie nierentowne wydatki na obronę narodową.

Oczywiście, nie dolary i nie centy są najważniejszą przyczyną, dla której pragniemy pokoju w świecie. Najistotniejszą przyczyną jest, że nie chcemy przeżywać nowej wojny, szczególnie wojny atomowej, która niewątpliwie będzie skierowana głównie przeciw ludności cywilnej i może oznaczać koniec naszej cywilizacji.

Lecz czy naprawdę koncentrujemy wszystkie nasze wysiłki w pracy nad budową trwałego pokoju? Nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo amerykańskie pragnie i oczekuje, aby jego kierownicy polityczni pracowali dla trwałego pokoju. Ale społeczeństwo koniecznie musi pozostawić swym kierownikom właściwe sposoby i środki dla osiągnięcia tego celu. Sądzę, że w chwili obecnej społeczeństwo czuje, że słabe są widoki na uniknięcie wojny, i że inne narody rozmyślnie przeszkadzają wysiłkom Ameryki w kierunku osiągnięcia trwałego pokoju.

Jak wygląda w oczach innych narodów działalność Ameryki od Dnia Zwycięstwa? Przez działalność rozumiem takie konkretne fakty jak przekazanie 13 miliardów dolarów na Departamenty Wojny i Floty, próby z bombą atomową na Bikini i nieustająca produkcja bomb, plan uzbrojenia naszym materiałem Ameryki Łacińskiej, produkcja B-29 i zamierzona produkcja B-36 oraz wysiłki zmierzające do zapewnienia sobie baz lotniczych rozsianych na połowie globu, z których można by bombardować drugą połowę globu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powyższe fakty skłaniają resztę świata do posądzania nas o czysty werbalizm przy stole konferencyjnym.

Fakty te bowiem wskazują, że albo 1) przygotowujemy się do wygrania wojny, którą uważamy za nieuniknioną, albo 2) usiłujemy zdobyć hegemonię zbrojną, aby zastraszyć resztę ludzkości.

Cóż byśmy myśleli o Rosji, gdyby miała bombę atomową, a my byśmy jej nie mieli, gdyby Rosja miała bombowce o zasięgu 10 000 mil i bazy lotnicze rozsiane na 1 000 mil naszych wybrzeży, których my byśmy nie mieli?

### ZBROJENIA NIE ZAPEWNIAJĄ TRWAŁEGO BEZPIECZEŃSTWA

Niektórzy wojskowi i samozwańczy „realiści" mówią:

„Cóż złego w usiłowaniach stworzenia hegemonii zbrojnej? Jedynym sposobem utrzymania pokoju jest dla naszego kraju uzbrojenie tak gruntowne, by nikt nie odważył się nas zaatakować. My wiemy, że Ameryka nigdy nie rozpocznie wojny".

Błędem tej polityki jest, że nie da się ona zastosować w rzeczywistości. W świecie bomb atomowych i innych rewolucyjnych broni, jak radioaktywne gazy trujące i wojna biologiczna, pokój utrzymywany przez hegemonię zbrojną nie jest już możliwy.

Dlaczego tak jest? Przyczyny są jasne.

Po pierwsze: wojna atomowa jest tania i łatwa w porównaniu z wojną dawnego typu. W przeciągu bardzo niewielu lat kilka krajów może mieć bomby atomowe i inną broń atomową. W porównaniu z kosztami utrzymania olbrzymich armii i produkcji broni dawnego typu, bomby atomowe kosztują bardzo mało i wymagają tylko stosunkowo niewielkiej części narodowej produkcji maszynowej i siły roboczej.

Po drugie: jeżeli chodzi o wygranie wojny, posiadanie większej, nawet o wiele większej ilości bomb niż ma przeciwnik, nie daje już decydującej przewagi. Jeżeli inny naród będzie posiadał wystarczającą ilość bomb, by zniszczyć wszystkie nasze główne miasta i nasz ciężki przemysł, to nie pomoże nam wiele, jeśli będziemy mieli dziesięć razy tyle bomb, ile potrzebowalibyśmy do wyrządzenia mu tych samych szkód.

Po trzecie — rzecz najważniejsza: sam fakt, że kilka narodów ma bomby atomowe, doprowadzi nieuchronnie do neurastenicznej psychozy lęku i trzymania palca na cynglu u wszystkich ludów świata; a my będziemy najbardziej nią dotknięci, ponieważ jesteśmy bogaci i mało odporni. Wojna atomowa nie będzie wymagała wielkich i długotrwałych przygotowań, ani mobilizacji ogromnych armii, ani przestawienia znacznej części przemysłu krajowego na produkcję wojenną. W świecie uzbrojonym w broń ato-

Truman

mową jakiś drobny wypadek doprowadzi kiedyś do jej użycia.

Jest pewna szkoła strategów, która uznaje te fakty i która przyznaje, że posiadanie bomb atomowych przez kilka narodów doprowadzi do wojny, która będzie zagładą cywilizacji i że żaden naród ani grupa kilku narodów nie wyjdzie z tej wojny zwycięsko. Dlatego też ta orientacja zaleca „wojnę prewencyjną", zaatakowanie Rosji teraz, zanim zdobędzie ona bomby atomowe.

Koncepcja ta jest nie tylko nieetyczna ale i głupia. Gdybyśmy spróbowali zniszczyć wszystkie główne miasta rosyjskie i ciężki przemysł Rosji, to by się nam — sądzę — udało. Lecz natychmiastową kontrakcją, wywołaną takim atakiem, byłaby szybka okupacja całego kontynentu europejskiego przez Armię Czerwoną. Czy bylibyśmy gotowi zniszczyć miasta całej Europy po to tylko, żeby zakończyć to, co zaczęliśmy? Ta myśl jest tak sprzeczna z podstawowymi instynktami i zasadami społeczeństwa amerykańskiego, że akcja taka byłaby możliwa do przeprowadzenia w naszym kraju tylko drogą dyktatury. Tak więc koncepcje „hegemonii zbrojnej" i „defensywnego ataku" są nie do przeprowadzenia w praktyce.

Jedynym rozwiązaniem jest to, które Pan tak mądrze zaprojektował, a które stanowi podstawę moskiewskiego oświadczenia w sprawie energii atomowej. Rozwiązanie to polega na wzajemnym zaufaniu między narodami, rozbrojeniu atomowym i skutecznym systemie utrzymywania siłą tego stanu rozbrojenia.

### MIĘDZYNARODOWA KONTROLA ENERGII ATOMOWEJ

Jest jednak fatalny błąd w oświadczeniu moskiewskim, w sprawozdaniu Achesona i w amerykańskim planie, przedłożonym ostatnio Komisji Energii Atomowej przy ONZ. Błędem tym, według powszechnego zdania, jest projekt „stopniowego" osiągania porozumienia międzynarodowego, żądania od innych narodów, by zobowiązały się nie prowadzić jakichkolwiek badań nad zastosowaniem energii atomowej dla celów wojennych i ujawniły swe źródła uranu i toru, podczas gdy Stany Zjednoczone mają prawo zachować w tajemnicy wiedzę techniczną o energii atomowej do czasu, gdy międzynarodowa kontrola i system inspekcyjny będą działać ku naszemu zadowoleniu.

Innymi słowy, mówimy Rosjanom, że jeśli będą „grzecznymi dziećmi", to możemy ewentualnie im i innym narodom przekazać naszą wiedzę o energii atomowej. Lecz nie ma obiektywnego kryterium ich „grzeczności", ani też określonego terminu, w którym podzielimy się z nimi naszą wiedzą.

Czy można się dziwić, że Rosjanie nie okazali entuzjazmu dla naszego projektu? Czy bylibyśmy entuzjastycznie usposobieni, gdyby Rosjanie mieli monopol na energię atomową i gdyby zaofiarowali nam zdradzenie swej tajemnicy w nieokreślonym terminie w przyszłości podług ich woli, pod tym warunkiem jeszcze, że nie będziemy na razie próbowali produkcji bomby i że podamy im nasze tajne źródła uranu i toru? Sądzę, że zareagowalibyśmy tak, jak to uczynili Rosjanie. Postawilibyśmy z kolei nasze kontrpropozycje, które spoczęłyby w aktach, a nasze istotne wysiłki poszłyby w kierunku wyprodukowania bomby i wyrównania w ten sposób naszych szans. Tak się w istocie przedstawia położenie Rosji Sowieckiej, co stwierdza jasno artykuł w „Prawdzie" z 24. VI. 1946.

Jasne jest, że ten „stopniowy" plan nie może być zrealizowany w jakiejkolwiek jednostronnej formie. Trzeba dojść do całkowitego porozumienia i to od razu ze wszystkimi. Być może konieczne będą kolejne etapy w osiągnięciu tego porozumienia, ale ich terminy należałoby uzgodnić już w głównym traktacie. W rzeczywistości Rosja ma dwie karty, których może użyć w pertraktacjach z nami:

1) nasz brak wiadomości o stanie jej naukowego i technicznego postępu w dziedzinie badań energii atomowej i

2) nasz brak wiadomości o jej źródłach uranu i toru.

Karty rosyjskie niewiele znaczą w porównaniu z naszymi kartami, tj. zapasem bomb, czynnym aparatem produkcyjnym, B-29 i B-36 i naszymi bazami, pokrywającymi połowę globu. Żądamy jednak, aby Rosja natychmiast odkryła swoje dwie karty, my zaś obejrzawszy je zadecydujemy, czy będziemy grać dalej.

Upieranie się przy tym, by gra była prowadzona na nasz sposób, prowadzi do ślepego zaułka. Rosjanie podwoją wysiłki, by wyprodukować bomby i mogą się też zdecydować na poważne rozszerzenie swej „strefy bezpieczeństwa". Jak dotąd, wysiłki ich nad rozszerzeniem strefy bezpieczeństwa we wschodniej Europie i na Środkowym Wschodzie — na które się tak głośno oburzamy — nie przyniosły im wiele z punktu widzenia potęgi militarnej w porównaniu z naszymi bazami lotniczymi w Gren-

landii, Okinawie i wielu innych miejscach oddalonych o tysiące mil od naszych wybrzeży. Możemy mieć silne poczucie słuszności, jeśli odmówimy odstąpienia od naszego planu, gdy Rosjanie nie zgodzą się na jego przyjęcie. Lecz to będzie oznaczać tylko jedno: wyścig zbrojeń atomowych jest w toku i jest śmiertelnie poważny.

Dlatego też jestem przekonany, że jeśli nadzieje nasze co do uzgodnienia traktatu pokojowego, który doprowadzi do rozbrojenia atomowego w skali międzynarodowej, mają być realne, to trzeba porzucić niepraktyczny projekt stopniowego osiągania porozumienia, który został przedłożony Komisji Energii Atomowej przy ONZ. Musimy być przygotowani na umowę, która zobowiąże nas do odkrycia tajemnicy produkcji i do zniszczenia naszych bomb w określonym czasie, albo w terminach określonych przez inne kraje, a nie wtedy, kiedy to sami zechcemy uczynić. Jeśli zechcemy pertraktować na tej podstawie, wierzę, że i Rosjanie ustosunkują się poważnie, gdy będzie możliwość porozumienia.

Nie można mieć oczywiście bezwzględnej pewności, że Rosjanie zgodzą się w końcu na jakiś możliwy do przeprowadzenia plan, gdybyśmy przyjęli powyższy punkt widzenia. Może będą woleli czekać aż do czasu, kiedy sami też będą mieli bomby i będą mogli pertraktować mając równe szanse — nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, grożącego im i reszcie świata w chwili, gdy kilka narodów posiadać będzie bomby atomowe.

Ale my musimy zrobić wysiłek, by unicestwić wyścig bomby atomowej. Tak postępując mamy wszystko do wygrania, a nie rezygnujemy z niczego, przyjmując tę politykę za podstawę naszych rokowań. Podczas przejściowego okresu, zanim pełna kontrola międzynarodowa będzie wprowadzona, zachowamy naszą techniczną wiedzę i jedyne istniejące zakłady przemysłowe dla produkcji materiałów i bomb pozostaną w granicach naszego kraju.

Rosyjska kontrpropozycja sama w sobie wskazuje na to, że Rosjanie są skłonni do poważnych pertraktacji, jeżeli my zechcemy pertraktować podobnie. Pod pewnymi względami ich kontrpropozycja posuwa się nawet dalej niż nasz plan i zgadza się z podstawowymi zasadami naszego projektu, aby pogwałcenie proponowanego traktatu uważać za zbrodnię, zarówno z narodowego jak i międzynarodowego punktu widzenia, za którą karane mogą być jednostki.

Łatwo zauważyć, że w dotychczasowej dyskusji nie poruszyłem kwestii tzw. „veta", a to dlatego, że sprawa „veta" jest zupełnie nieistotna i że propozycja „obalenia veta", która ma znaczenie w ogólnej działalności Rady Bezpieczeństwa, jest bezprzedmiotowa w odniesieniu do traktatu o energii atomowej.

Jeśli podpiszemy traktat z innymi narodami, wszyscy zgodzimy się na wykonanie pewnych rzeczy. Zanim taki traktat podpiszemy, zarówno my jak i inne większe potęgi będą miały prawo do „veta". Skoro jednak traktat zostanie ratyfikowany, sprawa „veta" będzie bez znaczenia. Jeśli jakiś naród pogwałci traktat, powiedzmy nie zezwalając na sprawdzenie podejrzewanej, nielegalnej produkcji bomb, przeciw jakiej akcji można by wówczas założyć „veto"? Tak samo jak w wypadku jakichkolwiek innych pogwałceń traktatu pozostałe narody, które traktat podpisały, mają swobodę podjęcia każdej akcji uznanej za konieczną, włączając krok ostateczny: wypowiedzenie wojny.

### INNE PROBLEMY W STOSUNKACH STANÓW ZJEDNOCZONYCH Z ROSJĄ

Sądzę, że dla Stanów Zjednoczonych i Rosji współżycie pokojowe jest najważniejszym problemem, kształtującym oblicze dzisiejszego świata. Wielu ludzi uważa — na podstawie względnie zadowalających wyników Konferencji Paryskiej, że czyni się znaczne postępy w dziedzinie unormowania stosunków między mocarstwami anglosaskimi a Rosją.

Przypuszczenia te — wydaje mi się — oparte są na zewnętrznych tylko pozorach, które są objawem raczej przejściowego rozejmu niż ostatecznego pokoju. Ogólnie biorąc— jeśli spojrzymy wnikliwie na wypadki ostatnich dni lipca 1946 roku — dojrzymy łatwo, że posunięcia, zarówno nasze jak i mocarstw zachodnich, w rezultacie noszą na ogół w sobie niebezpieczeństwo trzeciej wojny światowej, która tym razem będzie już atomową wojną światową. Jako państwo nie tylko najsilniejsze, ale też takie, po którego stronie stoi cała reszta świata z wyjątkiem Rosji z kilkoma jej słabymi sąsiadami w Europie Wschodniej, mamy — wierzyć trzeba — wszystkie szanse, by poprowadzić świat do pokoju.

Istnieją na ogół dwa zasadnicze punkty widzenia, które przyjąć można w stosunku do problemów rosyjsko-amerykańskich. Pierwszy z nich brzmi: „Nie możemy się pogodzić z Rosjanami, a zatem wojna jest nieunikniona". Drugi oparty jest na przekonaniu, że wojna z Rosją będzie katastrofą dla całej ludzkości, a zatem konieczne jest znalezienie sposobu zgodnego współżycia.

Jest rzeczą jasną, że zarówno nasz dobrobyt, jak i dobrobyt całego świata wymaga, abyśmy trwali przy tym drugim punkcie widzenia. Jestem pewien, że i Pan jest tego zdania, a przemówienie radiowe sekretarza stanu z dnia 15 lipca wyraźnie wskazuje na to, że gotów jest on na tak długie pertraktacje, jakie tylko będą potrzebne dla osiągnięcia rozwiązania na tej podstawie.

Powinniśmy się starać znaleźć uczciwą odpowiedź na pytanie, jakie czynniki wywołują nieufność Rosji względem nas i naszą względem Rosji. Nie jestem pewien, czy jako naród lub rząd znaleźliśmy właściwą odpowiedź na któreś z tych pytań, choć doceniamy krytyczną ważność obydwu.

### CZYNNIKI AMERYKAŃSKIEJ NIEUFNOŚCI WZGLĘDEM ROSJI

Podstawowa nasza nieufność względem Rosji, — znacznie wzmożona w ostatnich miesiącach przez przeniesienie się konfliktu na łamy prasy — pochodzi z odmienności naszej politycznej i ekonomicznej organizacji. Po raz pierwszy w naszej historii udało się naszym defetystom wywołać lęk, że inny system może się okazać szczęśliwym rywalem demokracji i inicjatywy prywatnej i to zarówno w innych krajach jak i — być może — nawet w naszym własnym.

Jestem przekonany, że możemy podjąć to wyzwanie — tak jak to czyniliśmy już w przeszłości — przez wykazanie, że dobrobyt ekonomiczny uzyskać można bez poświęcania dlań osobistej, politycznej i religijnej wolności. Nie możemy stawić czoła temu wyzwaniu — jak to próbował Hitler — przez zawiązywanie antykominternowskiej koalicji.

Zbyt łatwo się może zapomina, że mimo głębokiej różnicy kultur i intensywnej propagandy antyrosyjskiej w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu, społeczeństwo amerykańskie zmieniło swą postawę w okresie kryzysu wojennego. Dzisiaj jednak — pod presją pozornie nierozwiązalnych problemów międzynarodowych i ciągłego zapędzania się w ślepe zaułki — opinia amerykańska zwraca się znów przeciw Rosji. W zwrocie tym tkwi jedno z niebezpieczeństw, którym zajmuje się niniejszy list.

### CZYNNIKI NIEUFNOŚCI ROSJI WZGLĘDEM PAŃSTW ZACHODNICH

Czynniki, które powodują nieufność Rosji względem Stanów Zjednoczonych i zachodniego świata, sformułowałbym następująco:

Pierwszym z nich jest historia rosyjska, którą należy wziąć pod uwagę, ponieważ jest to rodzaj soczewki, przez którą Rosjanie patrzą na wszelkie posunięcia i politykę reszty świata. Historia Rosji jest od lat przeszło tysiąca jednym pasmem daremnych często wysiłków przeciwstawienia się inwazjom lub podbojom Mongołów, Turków, Szwedów, Niemców i Polaków.

Krótki trzydziestoletni okres rządów sowieckich stanowi w oczach Rosjan przedłużenie ich historycznej walki o byt narodowy. Pierwsze cztery lata nowego reżymu 1917—1921 — upłynęły na odpieraniu prób niszczenia przez Japończyków, Brytyjczyków i Francuzów, wspomaganych w pewnej mierze przez Amerykę i przez kilka białorosyjskich armii, finansowanych przez zachodnie mocarstwa.

W r. 1941 państwo sowieckie zostało niemal podbite przez Niemców po okresie, w którym kraje zachodnie pogodziły się najwidoczniej z ponownie przeprowadzanymi zbrojeniami Niemiec, wierząc, że napór nazistowski pójdzie w kierunku na wschód, nie na zachód. Rosjanie uważają wobec tego, że walczą o swą egzystencję we wrogim im świecie.

Po drugie, w wyniku omówionej sytuacji wszelkie kroki, jakie podejmują dla swej obrony i bezpieczeństwa mocarstwa zachodnie, wydawać się muszą Rosjanom przejawami planów agresywnych. Działalność nasza idąca w kierunku rozbudowania naszego wojskowego systemu bezpieczeństwa, jak np. rozszerzenie doktryny Monroego przez uzbrojenie całej półkuli zachodniej, nasze obecne monopolizowanie bomby atomowej, waga jaką przywiązujemy do naszych zewnętrznych baz i ogólne popieranie Imperium Brytyjskiego — wydawać się musi Rosjanom mocno wykraczająca poza zwykłe posunięcia konieczne dla obrony.

Przypuszczam, że my sami czulibyśmy się podobnie, gdybyśmy byli jedynym kapitalistycznym krajem na świecie i gdyby najważniejsze kraje socjalistyczne usiłowały osiągnąć poziom zbrojeń przekraczający wszystko, czego dokonały w tej mierze w swej dotychczasowej historii. Z rosyjskiego punktu widzenia także udzielenie przez nas pożyczki Wielkiej Brytanii, gdy równocześnie brak konkretnej odpowiedzi na ich prośbę o kredyty na cele odbudowy — wydawać się może jednym więcej dowodem umacniania się antysowieckiego bloku.

W końcu opór nasz w stosunku do ich dążności do otrzymania portów ciepłomorskich i stworzenia własnego systemu bezpieczeństwa w formie „zaprzyjaźnionych" państw sąsiadujących, zdaje się być, z rosyjskiego punktu widzenia, ostatecznym przekreśleniem sprawy. Po dwudziestu pięciu latach izolacji i po podniesieniu się do rzędu wielkich potęg, Rosja czuje się uprawniona do żądania, by ją za potęgę uznano. Wagę, jaką przywiązujemy do stworzenia demokratycznych państw na wschodzie Europy, gdzie demokracja zresztą — w pełnym tego słowa znaczeniu — nigdy nie istniała, tłumaczy sobie Rosja jako usiłowanie stworzenia znowu okrążającego ją łańcucha państw nieprzyjacielskich, jak to było po pierwszej wojnie światowej. Łańcuch ten w jej mniemaniu służyć może jako odskocznia dla nowego usiłowania zniszczenia jej.

### CÓŻ POWINNIŚMY ZROBIĆ?

Jeżeli analiza powyższa jest poprawna — a istnieją wszystkie dowody na jej poparcie — droga do polepszenia obecnej sytuacji jest wyraźnie wytyczona. Podstawowym celem tego działania powinno być usunięcie wszystkiego tego, co przedstawia dla Rosji słuszny powód do strachu, podejrzeń i nieufności. Musimy przyznać, że świat się zmienił i że dzisiaj nie może być mowy o „jednym świecie", dopóki Stany Zjednoczone i Rosja nie znajdą jakiegoś sposobu współżycia.

Tak na przykład, większość z nas jest głęboko przekonana o słuszności naszej postawy, gdy proponujemy umiędzynarodowienie Dunaju i Dardaneli i usunięcie z nich fortyfikacji. Bylibyśmy jednak zgorszeni i rozgniewani rosyjską kontrpropozycją, która zawierałaby projekt umiędzynarodowienia i rozbrojenia Suezu albo Panamy. Musimy uznać, że dla Rosjan propozycje te są analogiczne.

Krokiem wstępnym do spisywania traktatu pokojowego i do późniejszej współpracy w budowaniu nowego porządku świata powinno być uznanie przez nas, z nowego punktu widzenia, tego wszystkiego, co Rosja uważa za podstawę jej własnego bezpieczeństwa. Powinniśmy być przygotowani do ocenienia jej żądań zależnie od tego, co my sami lub Brytyjczycy uważamy za istotne dla naszego bezpieczeństwa. Powinniśmy być przygotowani, narażając się nawet na epitety o ugodowości — na przyjęcie rozsądnych rosyjskich gwarancji bezpieczeństwa. Postęp, jaki osiągnięto w ciągu czerwca i lipca w omawianiu traktatu włoskiego i innych, świadczy, że można dojść do zgody i porozumienia co do problemów tego rodzaju.

Nie powinniśmy rozważać dalej kwestii „veta" w związku z energią atomową, ponieważ jest to kwestia bezprzedmiotowa i nie powinna była wcale się wyłonić. Powinniśmy przygotować się do zawarcia traktatu, który raz na zawsze ustali porządek faktów w organizowaniu międzynarodowej kontroli i badań nad energią atomową. To — jak sądzę — jest najważniejszym w szeregu poszczególnych zagadnień, i w dodatku jest jednym z tych, w których rozwiązywaniu widać obecnie zdecydowaną tendencję zdążającą w kierunku ślepego zaułka raczej niż ostatecznej ugody.

Powinniśmy uczynić wysiłek, by przeciwdziałać irracjonalnej obawie przed Rosją Sowiecką, która to obawa jest systematycznie zaszczepiana w społeczeństwie amerykańskim przez pewne jednostki i publikacje. Słynny slogan, że komunizm i kapitalizm, system koszarowy i demokracja, nie mogą istnieć jednocześnie w tym samym świecie, jest z historycznego punktu widzenia wyłącznie konikiem propagandowym.

Kilka doktryn religijnych, z których każda uważana była przez swych wyznawców za jedynie prawdziwą ewangelię i zbawienie, istniało przez wieki obok siebie przy stosowaniu rozsądnej tolerancji. Kraj nasz był w ciągu pierwszej połowy swego narodowego istnienia jedyną wysepką demokracji wśród rządzonego metodami absolutyzmu świata.

Nie powinniśmy postępować tak, jakbyśmy — i my także — czuli się zagrożeni w dzisiejszym świecie. Jesteśmy bezwzględnie najmocniejszym narodem — jedynym pośród Narodów Zjednoczonych, który wyszedł z ostatniej wojny bez zniszczenia i znacznie silniejszy niż kiedykolwiek. Cokolwiek byśmy jeszcze mówili o potrzebie dalszego umacniania się, musi się to innym narodom wydać hipokryzją.

### ROLA STOSUNKÓW GOSPODARCZYCH

Musimy być przygotowani także na wszczęcie dyskusji gospodarczej z Rosją, bez żądania, aby zgodziła się ona już naprzód na dyskutowanie tych punktów, w których wymaga się od niej trudnych i do pewnego stopnia nieokreślonych ustępstw politycznych i gospodarczych. Chociaż jest to dziedzina, która dotyczy najbardziej bezpośrednio mego własnego departamentu, przyznać muszę, że według mego zdania, aspekt problemu na tym odcinku nie przedstawia się tak krytycznie jak gdzie indziej, i jest na pewno o wiele mniej ważny niż zagadnienie kontroli energii atomowej. Pomyślne jednak pertraktacje na polu ekonomicznym przyczynić się mogą niemało do przerzucenia mostu przez przepaść, która nas dzieli.

Zagadnienie pożyczki powinno być rozpatrywane wyłącznie z ekonomicznego i handlowego punktu widzenia, w możliwie największym oderwaniu od wszelkich nieporozumień chwili bieżącej, wypływających z podstawowych różnic, jakie przedstawiają nasze systemy polityczne. Zaznaczył już Pan wyraźnie, że pożyczka udzielona Wielkiej Brytanii nie ma nic wspólnego z antysowieckim nastawieniem Pana czy społeczeństwa amerykańskiego. Gdyby oświadczenie, które złożył Pan podpisując pożyczkę dla Brytanii, mogło zostać dopełnione przez taką samą pożyczkę dla ZSRR, udzieloną według zasad handlowych i na podobnych warunkach — to wierzę, że byłoby to wystarczająco jasnym dowodem, że kraj nasz nie robi użytku ze swych zasobów finansowych w rozgrywce sił politycznych. W związku z obecną sytuacją Banku Eksportowo-Importowego uważam możliwie jak najszybsze przeprowadzenie ogólnych dyskusji gospodarczych za sprawę niezmiernej wagi.

Ważne według mego zdania jest także to, abyśmy w sposób przyjazny przedyskutowali z Rosjanami ich rozległe problemy ekonomiczne a także naszą przyszłą współpracę handlową. Projekty przebudowy ZSRR jak również plany pełnego rozwoju Związku Radzieckiego przedstawiają olbrzymie możliwości zarówno dla eksportu towarów amerykańskich jak i dla zatrudnienia amerykańskich fachowców.

Wyroby amerykańskie, szczególnie wszelkiego rodzaju maszyny, są używane w Związku Radzieckim. W kopalniach węgla np., w przemyśle żelaznym i stalowym, w olejarniach i zakładach obróbki metali nie-żelazistych wprowadzone są standartowo urządzenia, metody i systemy amerykańskie.

Handel ten jednak nie powinien być jednostronny. Chociaż Związek Radziecki przedstawiał dla nas w przeszłości świetne pole do kredytowych operacyj, teraz należałoby ewentualnie zażądać, aby towary dostarczane im z naszego kraju i nasze usługi spłacane były przez nich drogą eksportu ich produktów do nas lub do innych krajów. Wytwory rosyjskie, które bądź to są nam koniecznie potrzebne, bądź też nie stanowią konkurencji dla naszych wyrobów krajowych, są następujące: futra, płótno, przeróżne rudy metali miękkich, drzewo, rośliny lecznicze, papier, miazga drzewna i wyroby ludowe. Uważam, że pertraktacje zmierzające do ustalenia obrotu handlowego mogą przyczynić się niemało do rozwiania mgły nieporozumień politycznych. Można by te pertraktacje doskonale rozpocząć równocześnie, gdy będziemy usiłowali znaleźć jakąś wspólną platformę dla zagadnień bezpieczeństwa, i jeśli przeprowadzimy je z pewną dozą wyrozumiałości, będą mogły pomóc w rozwiązaniu także tego problemu.

W moim marcowym skierowanym do Pana memorandum, co do którego projektowałem, że będzie zabrane przez generała W. B. Smitha do Moskwy, poczyniłem pewne propozycje dotyczące rozmów handlowych i misji handlowej. Obecnie ponawiam tę początkową propozycję, uważam jednak tym razem szybkie wydelegowanie misji handlowej do Moskwy za posunięcie właściwsze niż proponowane przeze mnie poprzednio zorganizowanie dyskusji w naszym kraju. Zadaniem wymienionej misji byłoby naszkicowanie projektu wciągającego odbudowę Rosji i jej współpracę do całości ekonomicznych i przemysłowych planów rozwojowych dla tych stref, w których mamy wspólne interesy, jak np. dla Środkowego Wschodu.

Jak to już zaznaczyłem tamtym razem, mam opracowane pewne propozycje dotyczące zarówno składu misji jak i niektórych zagadnień czysto ekonomicznej natury, które byłyby przez nią dyskutowane. Departament Handlu w porozumieniu z Departamentem Stanu poczynił już odpowiednie kroki, aby wysłać dwóch przedstawicieli do Moskwy na miesiące lipiec i sierpień, w celu przeprowadzenia rokowań wstępnych o znacznie bardziej ograniczonym zasięgu.

Uważam za rzecz bardzo znamienną, że większość bardziej optymistycznych wypowiedzi obserwatorów amerykańskich na temat możliwości dojścia do porozumienia z Rosją wyszło z kół businessmenów — mam na myśli ludzi takich jak Wendell Willkie, Eric Johnston i były ambasador Joe Davies. Rosjanie wydają się być przyjaźnie usposobieni i pełni respektu dla businessmenów-kapitalistów.

Pewna ilość obserwatorów stwierdza, że przywódcy radzieccy są izolacjonistami i zdradzają brak zdolności wejrzenia w zasady, motywy i sposób myślenia innych narodów. Musimy jednak przyznać, że oni właśnie wskazali na symptomy zapowiadające drugą wojnę światową oraz na sposoby, którymi można było jej zapobiec, popierając koncepcję systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

Niezależnie od tego wszystkiego zresztą, zdaje mi się, że powinniśmy zaradzić jakoś na rosyjski izolacjo-

**WYDZIAŁ KOLPORTAŻU**
**Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" w Krakowie**
**został z dniem 15 bm.**
**przeniesiony do nowego lokalu przy ul. Powiśle 6/7**
Wszelką korespondencję, paczki oraz wpłaty pieniężne prosimy kierować na nowy adres.
Konto PKO Kraków: IV-777.
Bank Gospodarstwa Spółdzielczego, Kraków: konto nr 485.

nizm i ignorancję i przypuszczam, że nasza misja handlowa mogłaby niejedno zrobić w tym kierunku. Przypuszczam, że i o tym zapewne musiał Pan myśleć zapraszając premiera Stalina do Ameryki.

Wiele problemów dotyczących krajów sąsiadujących z Rosją można by było zapewne łatwiej rozwiązać, stwarzając atmosferę wzajemnego zaufania i opracowując rosyjsko-amerykańską umowę gospodarczą. Zagadnienia te mogłyby też ulec znacznemu uproszczeniu dzięki dyskusjom natury ekonomicznej.

Przeciwwagą zaś wyzyskiwania przez Rosję dla jej celów gospodarczych strefy naddunajskiej mogłyby być na przykład jakieś konkretne propozycje z naszej strony, dotyczące współpracy gospodarczej w wyzyskiwaniu bogactw naturalnych tych terenów. Odniosłyby one lepszy skutek niż upieranie się, aby Rosja przerwała wyłączną eksploatację wymienionej strefy, i jednoczesne wstrzymywanie się od wskazania jakiegoś możliwego rozwiązania zagmatwanej sytuacji gospodarczej, jaka się tam wytworzyła.

### STRESZCZENIE

Propozycja ta wymaga pewnej zmiany w naszym sposobie myślenia o sprawach międzynarodowych. — Zmiana ta jest imperatywem chwili obecnej. Nie mamy czasu do stracenia. Nasza powojenna działalność nie była jeszcze przystosowana do doświadczeń, jakie powinniśmy byli wynieść z wojennego okresu współpracy między aliantami i z faktów, jakie stawia nam przed oczy era atomowa.

Oczywiście pożądane jest, byśmy o ile możliwe stworzyli wspólny front wewnętrzny w stosunku do zagadnień międzynarodowych. Jedność jednak zmierzająca do stworzenia konfliktu za granicą byłaby nie tylko niezdrowa, lecz wręcz katastrofalna. Sądzę, że są powody, do obaw, żebyśmy w naszym szczerym wysiłku w kierunku stworzenia jedności dwupartyjnej w naszym kraju nie ustąpili zbytnio miejsca izolacjonizmowi występującemu pod maską twardego realizmu w sprawach międzynarodowych. Prawdziwą próbą będzie dla nas osiągnięcie jedności międzynarodowej. Bezowocna jest kontynuacja poszukiwania rozwiązań dla szeregu specyficznych problemów, które stają przed nami w związku z budowaniem pokoju i ustalaniem trwałego porządku międzynarodowego, jeśli przedtem nie zostanie osiągnięta atmosfera wzajemnego zaufania. Zadanie — przyznaję — nie jest łatwe.

Nie ma dwóch zdań co do tego, że — jak to już wykazał sekretarz stanu — pertraktacje z Rosjanami są trudne z powodu różnic kulturalnych, tradycyjnego izolacjonizmu rosyjskiego i nacisku, jaki kładą na wprowadzenie pewnych dwuznaczności do każdej umowy. Zadanie nie jest jednak niewykonalne, tym bardziej, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że dla innych narodów nasza polityka zagraniczna wyraża się nie tylko w zasadach, jakie głosimy, lecz także w naszych czynach.

Zasadniczo sprowadza się to wszystko do punktu omówionego już w początku listu, a mianowicie, że nawet własne nasze bezpieczeństwo— jak rozumieliśmy je zawsze w przeszłości — nie może być zapewnione środkami wojskowymi w świecie uzbrojonym w broń atomową. Jedynym zabezpieczeniem, jakie zapewnić nam mogą nasze własne wojska, jest — jak to stwierdził przed Senackim Komitetem Energii Atomowej pewien wojskowy — zabezpieczenie przed inwazją wtedy, gdy już wszystkie nasze miasta i może z 40 milionów naszych obywateli padną ofiarą broni atomowej. To jest maksimum, które może nam dać nasze „bezpieczeństwo" oparte na zbrojeniach. Nie jest to jednak ten rodzaj bezpieczeństwa, o który walczą nasi ludzie i obywatele innych Narodów Zjednoczonych.

Przypuszczam, że postępowe kierownictwo, idące po linii wyżej naszkicowanych propozycji, reprezentowałoby i popierało interesy większości naszych obywateli, wzmocniłoby pozycję dalekowzrocznej, jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, Partii Demokratycznej i w końcu — powstrzymałoby nowy pęd do izolacjonizmu i światowej, katastrofalnej wojny atomowej.

MARIA JAROCHOWSKA

# Malować, malować, malować

### DZIEJE JOZEFA BRZEZIAKA

— Wszystko stracę, a nauczyć się muszę — tak zakończył swe podanie o przyjęcie do Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych Józef Brzeziak, 28-letni repatriant, zarabiający na życie szewstwem.

W życiorysach, jakich tysiące napływa do dyrekcyj szkół, nie spotyka się zazwyczaj tak desperackich oświadczeń. Na ogół na nieskalanych śladem brudnych palców kartkach szeregują się starannie wypisane imiona własne, daty, nazwy miejscowości i szkół; nie ma tu miejsca na osobiste zwierzenia. Na fotografiach, przyszpilonych spinaczami do tych arkuszy zawierających oficjalny skrót przeszłości, nawet wyrazy twarzy są już jak gdyby nieaktualne, wydarte z minionego czasu, a oczy mają nieprawdziwy blask, właściwy podobiznom robionym na prędce do dowodu osobistego.

Ale dla Brzeziaka przeszłość i przyszłość była widocznie jedną sprawą. Tą właśnie:

— Moim marzeniem jest zostać malarzem.

Urodził się w Branzbergu w Prusach. Z kolei przeniósł się z rodzicami do Wołkowyska, a potem mieszkał we wsi Roś pod Białymstokiem. Ojciec jego był malarzem pokojowym, matka — jak sam określa — gospodynią. Po ukończeniu szkoły powszechnej oddano go do terminu u szewca i dalej pomagał w gospodarstwie domowym.

— Ale niedzielami, w wolnych chwilach zawsze malowałem widoki — podaje w życiorysie. I znowu uparcie powtarza swoje: „Moim marzeniem było malarstwo. Do tego było moje dążenie malować, malować, malować".

W czasie wojny malował... ale jako malarz gminny przy maskowaniu budynków. Następnie przyszła służba w Wojsku Polskim, demobilizacja i osiedlenie się w Gdańsku — 11 osób w jednym pokoju.

Od razu złożył podanie o przyjęcie do Szkoły Sztuk Pięknych. W tej niezwykłej szkole nie było parogodzinnych egzaminów wstępnych, w czasie których nerwy nie pozwalają często uczniowi na wykazanie zdolności, a profesor za mało ma czasu i sposobność zanadto jednostronną, aby zorientować się gruntownie w możliwościach kandydata. Każdego petenta przyjmowano na okres próbny, w czasie którego brał udział w normalnej nauce, żeby uchwycił kontakt z przedmiotem. Żeby uczący nawiązał kontakt z uczniem i bez pośpiechu, sprawiedliwie go ocenił.

Od pierwszego dnia profesorowie spoglądali z pewnym usilnie maskowanym niepokojem na tego człowieka o kanciastych ruchach i nieprzejednanych oczach, który po wytężonym namyśle wybrał sobie najgorsze, bo najmroczniejsze miejsce w pracowni i z twarzą przyciśniętą prawie do sztalug bardzo poważnie kreślił, a raczej rył na papierze. Wyniki były mocno osobliwe. Szczególne kulfony o niektórych członach częściowo zmarniałych, innych mocno upośledzonych lub nadmiernie bujnych sprawiały wrażenie arcydzieł z epoki dyluwialnej. Dziwolągi złożone z grubo smarowanych krech jakże mało były podobne do pozującego aktu lub do martwej natury ustawianej z tkliwą prawie starannością przez profesora.

Nie lepiej wiodło się Brzeziakowi w pracowni rzeźbiarskiej, gdzie każdy uczeń obowiązany był także studiować. Ku zdumieniu profesora rzeźby, Brzeziak smukłonogą modelkę z delikatnymi rysami, dziewczynę o wydłużonych proporcjach i jasnych, prostych jak patyki włosach, odtwarzał uporczywie w glinie jako muskularną murzynkę ze skudłaczoną czupryną i o przysadkowatych kształtach.

W końcu wszyscy orzekli, że pitecantropusy, które fabrykuje Brzeziak, nie wróżą mu malarskiej sławy.

Był to pierwszy wypadek niedopuszczenia kogoś do Szkoły i dyrektor, jednocześnie profesor malarstwa, zdecydował się nań bynajmniej nie z lekkim sercem.

— Może by panu odpowiadał lepiej jakiś inny zawód.

Brzeziak stał przed dyrektorem w spokojnej postawie człowieka obojętnego, z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała tak równo, jakby zamiast dłoni miał ciężarki. Powolnie, dyskretnym ruchem wyjął z kieszeni spodni chustkę i ukradkiem przejechał nią po czole.

T. PACHEL Kaplica królewska
(Z wystawy w Gdańsku)

— No to znaczy się trzeba iść do innej szkoły — powiedział beznamiętnie i nagle dyrektor zobaczył z niepokojem, że cała twarz niefortunnego ucznia pokryta jest grubymi bąblami potu, jak u człowieka wyczerpanego jakimś śmiertelnym wysiłkiem.

Ten pot zadecydował o karierze Brzeziaka — opowiadali potem profesorowie. Ten pot znaczył, że Brzeziak rzeczywiście musi malować.

— Jeśli pan nie rezygnuje ze studiów, to popróbujemy jeszcze.

— Znaczy się, ja będę mógł przychodzić? — powiedział Brzeziak jakoś dziwnie, jakby bez tchu.

— Będzie pan mógł. Wezmę pana do mojej pracowni.

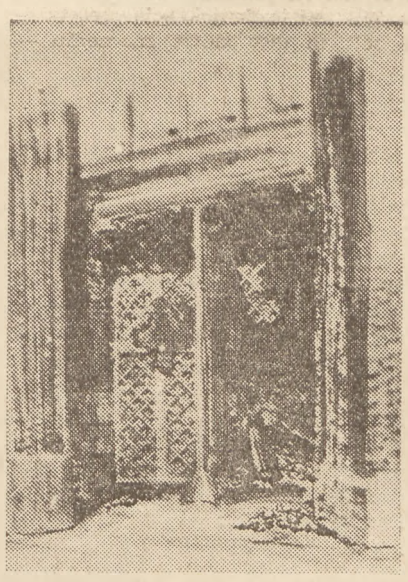

ST. ŻUKOWSKI Wejście do kościoła
(Z wystawy w Gdańsku)

Odtąd zajęto się Brzeziakiem specjalnie:

— Trzeba to zetrzeć. Szmatkę pan ma?

Brzeziak nie miał ścierki. Z nienawistną wściekłością patrzył bez słowa, złowrogo, jak pod delikatnymi posunięciami bezlitosnej ścierki dyrektora znikają jego paleolityczne twory.

— Musi pan odsunąć się dalej od sztalugi. Musi pan przede wszystkim nauczyć się patrzeć. Dlaczego pan staje tyłem do modela? Po co sobie utrudniać życie? Musi pan patrzeć „jednocześnie", jednocześnie na całą płaszczyznę papieru czy płótna, którą ma pan przed oczami i którą musi pan wypełnić rysunkiem tak, aby otrzymać równowagę form. Linie to kontrast walorowy. Trzeba obserwować przede wszystkim kontrasty Rysunek to nie tylko te linie, które kładzie pan na papier. To zespół tych linii i tych miejsc, które zostawił pan puste, których nie pokrył pan liniami. Najpierw uważnie rozmieścić. Skomponować. Cały czas komponować Widzenie **jednoczesne** podporządkuje szczegóły całości, pozwoli osiągnąć panu grę linii, grę kolorów, da głębszy kontrast, doskonalszą harmonię i pozwoli połączyć abstrakcję z bystrą obserwacją przedmiotu w prawdziwy realizm.

— Ja sam, ja sam — dyszał chrapliwie Brzeziak zaciskając kurczowo ręce i pocąc się obficie.

Zupełnie tak samo drżały mu dłonie i bielały wargi, gdy profesor rzeźby z łagodną stanowczością przeprowadzał korektę jego prac.

Po kilku miesiącach na wystawie uczniów urządzonej na zakończenie roku szkolnego Brzeziak otrzymał nagrodę za malarstwo, a za rzeźbę wyróżnienie. Równocześnie w ogólnopolskim konkursie na projekty tkanin, w którym brali udział dojrzali artyści z całej Polski, Brzeziak dostał drugą nagrodę i dwa jego projekty tkanin zostały zakupione. Zresztą i bez tych sukcesów było już wiadome, że Brzeziak należy do najzdolniejszych uczniów w Szkole. Że Brzeziak jest już malarzem, tak jak to sobie przysiągł.

Portret namalowany przez niego w czasie feryj wakacyjnych zakwalifikowano do tych prac uczniów, które zostaną wysłane do Stanów Zjednoczonych.

Na ten portret dość zresztą Brzeziak narzekał:

— To mój teść. Źle go było malować, bo albo gadał, albo spał.

### TO NIE POWIEŚĆ

Historia Brzeziaka nie jest bynajmniej początkiem noweli, ani wyjątkiem z powieści. Nieprawdziwe jest w niej tylko jedno jedyne słowo: nazwisko bohatera, które trzeba było zmienić, właśnie dlatego, że całe opowiadanie jest w każdym szczególe autentyczne. Działo się to w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Gdańsku ze siedzibą w Sopocie, w tej bardzo interesującej szkole, gdzie najstarszy uczeń ma więcej lat niż dyrektor, a obok syna kolejarza uczy się malować żołnierz odbywający równocześnie służbę wojskową.

Na początku nie było nic. Nie było nawet słowa, jak w ewangelii, był czyn. Albo lepiej, aby uniknąć egzaltacji — była inicjatywa. Inicjatywa paru artystów plastyków, poparta i subwencjonowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Postanowiono, że w Gdańsku, właśnie w tym mieście, które hitleryzm wybrał jako pretekst do wzniecenia najpotworniejszej z wojen świata, do rozpętania szału barbarzyństwa, o jakim się ludzkości nie mogło nawet przyśnić, powstanie szkoła mająca na celu szerzenie prawdziwej kultury.

Dom, który wobec sproszkowania murów Gdańska upatrzono sobie w Sopocie, był willą po wyższym oficerze niemieckim, pustą jak wnętrze orzecha, którego ziarno wyjadł łakomy robak. Posiadał jednak oranżerię nadającą się do przeróbki na rzeźbiarnię. Sztalugi i stoły zamówiono oczywiście natychmiast, nim jeszcze grupa malarzy miała czas zastanowić się, że właściwie to nie ma nawet krzeseł do siedzenia, nim zapaleńcy zafrasowali się mimochodem, że nawet nie bardzo będą mieli na czym spać. Na początku udzielił im gościny Dom Wypoczynkowy PPR.

Było to we wrześniu 1945 r.

1 października mianowano dyrektora.

15 października ponad stu uczniów rozpoczęło naukę w nowootwartej szkole. W błyskawiczność tego osiągnięcia uwierzyć można tylko wtedy, jeśli się pomyśli, że owe czternaście dni rozbito na tysiące minut, z których żadna nie została zmarnowana.

Celem szkoły, ku któremu biegną wysiłki 11 jej profesorów i 3 asystentów, jest kształcenie artystów plastyków zarówno w zakresie sztuki czystej, a więc malarstwa, rzeźby i grafiki, jak i sztuki użytkowej, mianowicie architektury wnętrz, grafiki stosowanej, meblarstwa, tkactwa, ceramiki, metaloplastyki, z tym podkreśleniem, że program nauki oparty jest na zasadzie jak najgłębszej harmonii tych dwóch działów.

Chodzi więc także o podbudowę artystyczną do przedmiotów użytkowych. Bo dawniej często bywało, że nauka przedmiotów sztuki użytkowej kładła główny nacisk na „dowcip" i na „metier" — opanowanie materiału, na pokazanie tego, co można zrobić z konstrukcji. A Szkoła gdańska postawiła sobie za zadanie nie tylko wychodzić z materiału, ale przez malarskie i rzeźbiarskie kształcenie oka dać uczniowi pełne podstawy do twórczego stosunku i istotnego smaku w dziedzinie sztuki użytkowej.

Nauka w Szkole będzie trwać 5 lat. Warunkiem przyjęcia jest matura, którą można także złożyć już w czasie studiów. Półdyplom następuje po dwu latach studiów specjalnych.

Pierwszy rok studiów, który blisko 100 uczniów zakończyło dnia 30 czerwca 1946, był tzw. kursem ogólnym, przygotowaniem do działów specjalnych. Każdy uczeń musiał przejść rysunek, malarstwo, rzeźbę, liternictwo, kompozycję użytkową i przedmioty teoretyczne jak anatomia, historia sztuki, perspektywa itp.

W bieżącym roku, na który zapisało się już około 200 uczniów, prowadzone będą 4 wydziały specjalne: malarstwo, rzeźba, grafika i architektura wnętrz z podlegającym jej wnętrzarstwem (meblarstwo, tkactwo, ceramika).

Nauka w Szkole jest bezpłatna. Uczniowie otrzymują również materiał i pomoce. Wielu z nich dostaje stypendia. Bratnia Pomoc Studentów urządziła bezpłatną bursę i bardzo tanią stołówkę.

Szkoła jest placówką eksperymentalną nie tylko ze względu na jedyny w swoim rodzaju program nauki, łączący jak najściślej sztukę czystą ze sztuką użytkową. Jest rewelacją w sensie artystyczno-społecznym. Kształci się tu, pracując często po 11 godzin na dobę, zdumiewający zespół uczniów. Przeważają nie — jak na ogół we wszystkich szkołach sztuk pięknych — inteligenci, ale synowie rzemieślników, chłopów, emigrantów, górników, rybaków, kolejarzy czy nauczycieli ludowych. Uczą się tutaj ludzie rozczarowani już przez życie i inni, pełni jeszcze młodzieńczej ufności. Jednym z nich najokrutniejszy z losów, wojenny los przemocy i grozy, wydarł wszystko, co posiadali, wtłoczył do ziemi to, co było żywe i bliskie, z ziemią zrównał dorobek przeszłości. Innym, zupełnie młodym, czasy pogardy nie pozwoliły na niepowtarzalny luksus dzieciństwa i ci dziś zaciekle, ze wszystkich sił chcą dogonić własne, umykające życie. Kończą więc szkołę średnią i studiują równocześnie sztuki piękne. Są tu byli partyzanci i więźniowie polityczni niemieckich katowni. Są żołnierze dotychczas nie zdemobilizowani.

### ŻYWOT ZOFII STECÓWNY

Wszyscy prawie uczniowie pracują zarobkowo. Malują pokoje, szyldy, szyją suknie, robią buty, załatwiają „strony" w urzędach. Wielu z nich ma rodziny, musi utrzymywać żony i dzieci. Bywa i tak, że żona pracuje w pensjonacie jako kucharka, aby niemłodemu już mężowi umożliwić naukę malarstwa. I jeszcze są tacy jak Stecówna. Dzieje jej nie są wcale wyjątkowe wśród żywotów tych ludzi, które przeniesione na ekran wzruszyłyby nas do głębi, a przeczytane w powieści długo by nie dawały o sobie zapomnieć.

Stecówna ma postać niewielką i krępą, okrągłą twarz trochę naiwną, ale rezolutną i regularnie co czwarte słowo mówi „absolutnie", podkreślając tym niejako wagę wypowiadanych zdań. Zresztą wyraża się czarująco. Jak nikt inny. O pewnej rzeźbie powiedziała marszcząc czoło i mrużąc wstydliwie oczy: „O, zupełnie taka, jakby ją jaskółka dziobkiem lepiła".

Podanie swoje do Szkoły zatytułowała:

„Mój poszczególny życiorys.

Zofia Stecówna, urodzona dnia 30. XI. 1925 w Słupczy koło Sandomierza. Do pięciu lat mieszkałam w swej rodzinnej wiosce, a potem wraz z rodzicami i rodzeństwem zmieniliśmy miejsce zamieszkania do niewielkiego miasta Zawichosta, gdzie uczęszczałam do szkoły powszechnej i byłam jedną z nienajlepszych uczennic, ale z niektórych przed-

miotów najlepsza. A mianowicie z polskiego, religii, rysunków, robót, geografii, przyrody. Reszta moich stopni była średnia. Marzeniem moim było aby rysować, rysować nieprzerwanie. Ale nie wszyscy mogą i mają odpowiednie ku temu warunki i mogą cieszyć się spełnieniem życzeń. Otóż rodzice moi nie byli biedni, aby z tego powodu nie korzystać ze szkoły, bo choć ciężko, ale byliby dopomagali. Mieliśmy średnie gospodarstwo 70-morgowe. Ojciec mój był majstrem budowniczym i kiedy ja jeszcze chodziłam do powszechnej szkoły, było w planie, aby zdolności moje nie zmarnować. A szczególnie wychowawczyni moja ciągle dawała mi nadzieję, że kiedyś pojadę do Krakowa, że ona w przyszłości będzie oglądać moje prace. Z tą nadzieją żyłam do ukończenia szkoły. Lecz niestety rok 1939 skreślił moje plany i pokrzyżował wszystko. W tym to roku rozprysła się już moja szkoła i musiałam zająć się w domu gospodarstwem, które całym swoim ciężarem spadło na moje młode barki. Ponieważ ojciec mój umarł, brat najstarszy poszedł na wojnę, a matka pojechała do szpitala, wtedy już zamarły zdolności moje, już nie marzyłam o niczym, bo trzeba było znosić ciężkie warunki wojny. A czas płynął. W r. 1942 zostałam złapana do Niemiec, lecz nie wywieźli mnie za granicę, tylko umieścili w dużych zakładach przetworów owocowych „Społem" w Dwikozach. Tak upływały mi dni wojny na znośnych i nieznośnych warunkach. Żyłam z daleka od rodziny, podobnie jak wielu Polaków i tam po swoich godzinach pracy uczyłam się szyć, bo potem szyciem musiałam zarabiać na swoje najpotrzebniejsze wydatki, gdyż te niemieckie grosze nie wystarczały na skromne, wojenne życie. Aż przyszedł rok 1944 i ten pamiętny miesiąc lipiec, kiedy to pierwsze pociski artyleryjskie jak krwawe smoki swoim śmiercionośnym zapachem przesyciły naszą ziemię i pożerały nasze mienie. Wtedy skończył się spokój, a zapanował bezwład. Kiedy powróciłam do domu, dom mój był już pusty. Kilka osób, które pozostało w mieście zupełnie potraciło głowy, nie wiedząc co czynić ze sobą. Dom mój stał zaledwie pół kilometra od Wisły, a front jak wryty stanął u Wisły, więc ja nie miałam innego wyjścia jak tylko uciekać, szukać rodziny, i gdzie? Zostawić swój dom i to, co było nasze i iść tam, gdzie szli wszyscy zbłąkani i szukać się wzajemnie. Po dwóch miesiącach odnalazłam swoją rodzinę, w której brakowało już brata i siostry, a drugi brat ranny. Przeżycia mojej półrocznej tułaczki ścieśniają mi gardło i nie pozwalają wspominać. Lecz mówi się: minęło. Mieszkaliśmy wszędzie i nigdzie, zostawiając to wszystko, co było nasze. Jako ewakuowani tułacze szukałyśmy wraz z matką i siotrą schronienia, a śmierć i głód towarzyszyły nam nieodstępnie. I znów nadeszła rozłąka, zostałam zabrana na linię frontu, gdzie na każdym kroku czyhała śmierć, gdzie kule ze świstem przerzynały powietrze. A obraz ten pozostanie w pamięci mej na zawsze. Aż nareszcie 15 styczeń 1945, kiedy po naszej poniewierce powróciliśmy na ślady swojego domu, na pola porżnięte okopami we wszystkie strony świata, na ziemię naszą nasiąkłą krwią i przez pociski zoraną, na rumowiska i zgliszcza. I co tu robić, od czego zacząć? Konać powoli za szkoda młodych lat, a może kiedy komuś się przydam, więc pozostawiłam moją matkę ze starszą siostrą, a sama wyjechałam z Sandomierza. Przyjechałam do Sopot 1 sierpnia jako repatriantka, mieszkam na ul. ... nr. ... m. ... zajmuję jeden pokój jako osoba pojedyncza. Ponieważ żyłam z daleka od rodziców, dlatego nie lękam się tu robinsonowego życia. A choćby wszyscy o mnie zapomnieli, to wiem, że Bóg pamiętać o mnie będzie i nie pozwoli mi zginąć. Wojna nauczyła mnie żyć. Wojna dała mi szkołę, jakiej czas spokojny by nie dokazał za 20 lat. Jestem krawcową samodzielną, pracuję i to jest dotychczasowe źródło moich dochodów. Lecz nie jest to mój umiłowany zawód, tu chęć rysunku odżyła we mnie i nadal świta ta nowa nadzieja, że może, może, coś, gdzieś, kiedyś. I choć nieśmiało, to jednak pukam najpierw do drzwi, potem do serc waszych i wiem, że dużo jest mojej winy, bo mam niewielkie wykształcenie i może bardzo wiele innych braków, lecz może uwzględnicie moje niedostateczności, a ja w zamian za to wszystkie powinności swoje sumiennie spełnię i może będę jeszcze kiedyś posiadać więcej, prócz wdzięczności, którą bym chciała dać tym wszystkim, którzy podali mi rękę.

Stecówna Zofia
Sopot".

Każdy komentarz zepsułby tylko te słowa wzruszające swą świeżością. Zmieniłam tu tylko nazwisko i... trochę ortografię.

Stecówna jest bardzo utalentowana. Chce specjalizować się w tkactwie, ale osiągnęła także piękne wyniki w malarstwie i rysunku.

Stecówna i Brzeziak — oto dwa symbole tej nowej szkoły, w sensie najbardziej twórczym. Chłopka spod Sandomierza zwierza się nieśmiało „rysować i rysować nieprzerwanie". Szewc z Białostoczczyzny powtarza zawzięcie swoje „malować, malować, malować". Bez porozumienia ze sobą tymi samymi słowami wyrażają zupełnie to samo. To coś, co o ich życiu decyduje. Tym ludziom nikt nie narzucał sugestyj. Środowisko, z którego wyszli, pozbawione było artystycznych tradycyj, nie znało obciążeń przemożnych snobizmów. Nie z niego czerpali natchnienie o kierunku swego życia. Nie chodziło im o awans społeczny, bo ten osiągnęliby prędzej, studiując przedmiot wymagający mniejszego wysiłku. I nie o poprawę warunków bytu im szło, bo wiedzieli dobrze, jak niepewny i mało intratny jest zawód artysty. O ileż łatwiej mógł on zostać przy szewstwie, o ile spokojniej mogła ona tkwić przy swej krawieckiej maszynie. A jednak ten wewnętrzny żar, owa tajemnicza moc tłukłaby nimi do dziś, gdyby nie wylądowali w tej jedynej szkole, która dała im możliwości pełnego rozwoju talentu.

Nie wiadomo, czy Stecówna zdaje sobie sprawę, że w warunkach sanacyjnych nie byłaby dopuszczona do szkoły wyższej. Być może, że Brzeziak nienawidzi profesora, który ścierając jego gryzmoły upokorzył go głęboko. Ale wydaje mi się, że to nie ma zasadniczego znaczenia.

Ważne jest to przede wszystkim, że dążenia tych ludzi i wielu, wielu im podobnych nie zostały zdławione kleszczami społecznych niesprawiedliwości.

Ważne jest to przede wszystkim, że zdolności ich będą rozwijane pieczołowicie i z zapałem przez artystów, którzy potrafili je przeniknąć i pojąć.

### ZWYCIĘSTWO SZKOŁY

Dziś, kiedy Szkoła zamknęła już tom pierwszego roku szkolnego i otwiera karty drugiego, rezultaty pracy są równie niewątpliwe jak porywające. Wystawa prac uczniów urządzona na zakończenie pierwszego kursu wykazała niezwyczajne wyniki, stała się wydarzeniem nawet dla tych, którzy wiele się po Szkole spodziewali, nawet dla tych, którzy w nią wierzyli. Najbardziej uderzającą cechą wystawy jest jej różnorodność. Jest promieniująca z płócien i rzeźb swoistość talentu autorów, nie przygniecionego indywidualnością uczących profesorów. Większość prac nie jest wzorowana na nikim, nie ma tego nieznośnie powtarzającego się na wystawach szkolnych piętna: „à la manière de". I trudno uwierzyć nawet wiernym Tomaszom, jeśli nie zobaczyli na własne oczy, jak pięknie mogą grać barwy na pierwszej namalowanej w życiu martwej naturze, jaki rysunek potrafi zrobić ktoś, już dojrzały wiekiem, kto po raz pierwszy ujął w ostrożne palce węgiel.

Również w zakresie sztuki użytkowej osiągnęła Szkoła poważne sukcesy. Nie było uroczystości, pochodu, balu dobroczynnego czy przedstawienia teatru lalek, w którym studenci nie wzięliby udziału jako dekoratorzy lub twórcy pomysłowych kukiełek. Prawie równocześnie ze szkolną wystawą w Sopocie odbył się w Warszawie ogólnopolski konkurs na projekty tkanin. Na sumę siedmiu nagród, wyznaczonych wcale nie specjalnie dla uczniów, ale dla ubiegających się o nie dojrzałych artystów z całego kraju, studenci Szkoły Gdańskiej zdobyli ich pięć. A twierdzą „wtajemniczeni", że należało im się wszystkie siedem, tylko że... „nie wypadało".

To wszystko, co zostało zrobione w Gdańskiej Szkole, w czasach normalnych nazwano by poważnie dorobkiem. Gdyby dziś działo się to w jakimkolwiek ośrodku mniej zniszczonym niż Wybrzeże, sprawiedliwie zasługiwałoby na entuzjastyczne miano: sukcesu. A ponieważ dokonano tego właśnie tam, nie inne nasuwa się określenie jak: zwycięstwo, bo tylko to słowo uwolnione od balastu koturnowego patosu, po prostu nazywa osiągnięcia grupy artystów.

Każdy mieszkaniec Polski, który w powojennych warunkach nieopisanego zniszczenia wziął na siebie trud jakiejkolwiek pracy organizacyjnej, nawet ten, który tylko urządzał życie sobie i rodzinie, wie jasno i na zawsze, jakie wysiłki są konieczne, ile niemożliwości trzeba pokonać, jak wiele mieć w sobie heroizmu, aby w oparciu o bałaganiarstwo tworzących się dopiero urzędów, wśród ciemności bezelektrycznego życia, wśród posuchy nieczynnych jeszcze wodociągów i świdrującego chłodu kaloryferów zamarzniętych na srebrne bryły lodowców stworzyć placówkę dynamiczną i pulsującą rozmachem.

Każdemu pracującemu, który wobec dotkliwych braków produkcji w poszukiwaniu za najzwyklejszym przedmiotem codziennego użytku obiegać musi niezliczonych handlarzy, każdemu artyście, który, nawet w miastach nie zdruzgotanych piekielną machiną wojny, daremnie przetrząsa wnętrza sklepów, pragnąc zdobyć materiał do swej pracy, nie łatwo jest uwierzyć, że zorganizowanie szkoły sztuk pięknych było możliwe tam, gdzie nie posiadano na początku jednego pędzla, jednego dłuta, jednej blejtramy.

Już sama kwestia modeli, tak naturalna w ośrodkach cieszących się artystycznymi tradycjami, nabrzmiała tutaj do rozmiarów dotkliwego problemu. Zapory, której niesposób rozsadzić. Bo nikt ze wstydliwych a pobożnych i dumnych Kaszubów za szatańskie nawet bogactwa nie zgodziłby się na wieczne potępienie przez nieskromne wydanie nagości swego ciała oczom studentów, chciwych zrozumienia anatomicznych proporcyj. Wreszcie na zdeterminowaną prośbę kierownictwa Szkoły admirał polskiej marynarki „przydzielił" malarzom modela. Odtąd olbrzymi marynarz z twarzą schłostaną wiatrami i tak obojętną, jakby już nic w życiu nie potrafiło go zadziwić, spędzał nieruchome godziny na podwyższeniu w pracowni, cierpliwie zamierając w pozach odtwarzanych niezliczoną ilość razy na płótnie.

### BIBLIOTEKA Z BAJKI

A z biblioteką Szkoły byłoby zupełnie jak w bajce, gdyby w bajkach istnieli szoferzy z Urzędu Bezpieczeństwa. Bo początkowo sprawa książek wydawała się także beznadziejna. W zgruchotanym Gdańsku, gdy pociski zrąbały na miazgę cegły, żar płomieni wytopił metal, także miliony papierowych kartek zetlały na kruche listki. A przecież nie było uczniów, którzy by bardziej pragnęli naładowanych kolorowymi objawieniami tomów, jak ci właśnie, którzy nierzadko nie widzieli innego obrazu poza oleodrukiem zawieszonym nad łóżkiem bogatego sąsiada. Jakże bez oparcia o przykłady, słowami, które nigdy nie zastąpią barwy i kształtu, wyjaśniać żarliwym słuchaczom sens sztuki minionych epok obcych ludów i różnorakich lądów.

Aż na balu urządzonym przez studentów, szofer U. B., zaprzyjaźniwszy się niespodziewanie z jednym z profesorów, zaprosił go do Wrzeszcza i tam hojnie obdarzył skarbem pozostawionym w prywatnej pracowni przez zbiegłego Niemca — malarza. W ten sposób Szkoła prócz pędzli i dłut drzeworytniczych otrzymała kilkaset pięknych książek i wspaniałych plansz z reprodukcjami. Stały się one embrionem biblioteki, dziś już wcale pokaźnej.

Bo Szkoła strukturalnie krzepnie i rozwija się z każdym miesiącem, choć ciągle jeszcze nie rozporządza pracowniami z górnym światłem, choć brakuje jej urządzeń do pracowni grafiki, fotografii, tkactwa, meblarstwa i ceramiki.

A jednak w połowie pierwszego roku szkolnego wielu studentów mogło już po części porzucić owe konieczne prace zarobkowe, tak bardzo niekiedy przeciwne ich serdecznym chęciom, do których jednak musieli się przykładać, aby wyżyć. Zamiast z mechanicznym znudzeniem pokrywać ściany równomierną warstwą farby pod dozorem krytycznej właścicielki mieszkania, potrafili już w obszernych salach wykonywać zamówione dekoracje. Zamiast wszywać rękawy do białą nitką fastrygowanych płaszczy, umieli już projektować różnobarwne tkaniny, dekoracje papiero-plastyczne, kostiumy, kukiełki. Pierwsza wspólna praca zamówiona u studentów była jeszcze wykonana dla celów wymiennych. To uczniowie w zamian za węgiel dla ich bursy udekorowali świetlicę gazowni miejskiej.

Obecnie konsulat szwedzki zakupił szereg płócien z wystawy studentów, zamówił projekty na tkaniny i coraz to się mnożą dekoracyjne obstalunki.

W urządzaniu imponującej Wystawy Dorobku Gospodarczego Wybrzeża studenci gdańscy wzięli bardzo intensywny udział. I tutaj wnieśli posag swoich uzdolnień, rozwiązując problemy dekoracyjne pomysłowo i z zapałem.

I dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że gdy cegła po cegle zaczynają się wspinać ku górze mury Gdańska powalonego taranem hitlerowskiego barbarzyństwa, wykształcona starannie przez Szkołę Sztuk Pięknych grupa młodych malarzy i dekoratorów potrafi nadać właściwy charakter wyrastającym budowlom i w kształtach ich zjednoczyć celowość z pięknem.

Nawet kajuty okrętów podlegać będą prawidłom estetyki, bo uczniowie studiują w Szkole dekorację i architekturę wnętrz statków.

### OD SZKOŁY DO AKADEMII

W tej chwili Gdańska Wojewódzka Rada Narodowa dąży do przekształcenia Szkoły w akademię. Byłaby to jedyna akademia sztuk pięknych o specjalnym charakterze eksperymentalnym. Czyż jest ośrodek w kraju bardziej takiej akademii potrzebujący niż zmasakrowany Gdańsk i całe Wybrzeże, które odbudowuje się z rozmachem i z pasją ściera z siebie piętno niemieckich naleciałości? Czyż jest szkoła bardziej na akademizację zasługująca?

Studenci marzą o Akademii i mimo swych powodzeń są tak samo niezmanierowani, zapaleni w pracy, prości i ludzcy jak wtedy, gdy jeszcze tylko śnili o Szkole.

Wypełniając indywidualne formularze przysłane przez amerykańską Polonię, wszyscy bez wyjątku proszą przede wszystkim o farby i materiały malarskie do studiów. Jeden ma żonę utalentowaną muzyczkę, która nie może się kształcić z braku środków i jej to pragnąłby koniecznie pomóc. „Moim największym życzeniem jest zdobycie funduszów na wprawienie sztucznych zębów" — zwierza się drugi.

„Chciałabym mieć dużo słodkich rzeczy od UNRRA i żeby raz nareszcie porządnie się ubrać" — pragnie jedna z najzdolniejszych malarek, a koleżanka jej komunikuje szczegółowo: „lubię jaskrawe suknie, a zwłaszcza czerwone w białe kropki". Któraś z młodszych skarży się, że w czasie egzaminów schudła 10 kg.

No a Brzeziak oznajmia śmiało: „Prosiłbym o ile możności o motocykl na wyjazdy pejzażowe".

* * *

Niepokoję się, że przedstawiony przeze mnie obraz Szkoły jest po laicku niekompletny. Boję się, że, opierając się przede wszystkim na spostrzeżeniach własnych i na informacjach udzielanych w niecierpliwym pośpiechu przerywanej pracy, mogłam popełnić błędy, które oburzą malarzy i samych organizatorów Gdańskiej Szkoły. Szczególnie trudno było mi pisać o niej właśnie tu, w tym mieście, gdzie mieści się Krakowska Akademia Sztuk Pięknych, zasłużona uczelnia o tak świetnej sławie.

I jeszcze jedno. Nie jest łatwo nową sprawę wyrażać starym sposobem. Nie jest łatwo określać pierwszą w swoim rodzaju rzecz zwrotami, które wydają się obrzydliwie wytarte od użycia, słowami spłowiałymi od powtarzania. Więc w końcu dąży się już tylko do tego, aby, odtwarzając historię tej niezwykłej szkoły, nie zepsuć błędnie dobranym wyrazem prawdy realnej i niewątpliwej, pragnie się już tylko nie sfałszować sedna spraw dokonanych i utrwalonych.

Szkoła Gdańska jest szkołą nową, bo stworzoną z niczego w niespotykanych przedtem warunkach i w nowych czasach. Jest szkołą eksperymentu udałego, bo program jej, konsekwentnie realizowany, dał bardzo piękne rezultaty. Szkoła Gdańska jest placówką postępu, bo, nie obciążona balastem konwenansów, nie cofnie się przed najbardziej awangardowymi posunięciami. Szkoła Gdańska jest ośrodkiem twórczym, a przenika ją atmosfera entuzjazmu i wspólnego, rozumnego wysiłku.

Ale sens tej szkoły tkwi przede wszystkim jeszcze w czymś innym. Zawarty jest w dynamicznym potencjale jej możliwości. W tym, że choć jak inne szkoły sztuk pięknych posiada uczniów, którzy od dzieciństwa równolegle z nauką obcych języków brali prywatne lekcje rysunków — bogatsza jest od nich o jeden element. O Brzeziaka, Stecównę i tych wszystkich łaknących, którym ofiarowała takie warunki, że wcale „wszystkiego nie stracą a nauczą się malować".

**Maria Jarochowska**

**ALEKSANDER ZIEMNY**

# CZWARTA DROGA

Źródło dróg, gdzie wiatr w świszczących tańczy serpentynach
Ziemia się tu ugina pod ciężarem stali,
Milczącej złowróżebnie na mknących maszynach —
Chór parowozów wznosi hymn swej magistrali.

Trzy drogi, trzy kierunki: wielka chęć poznania
Porywa mię lawiną, myląc czas i miarę.
Na zwodniczych zakrętach słońce pył przesłania.
Wydarzenia, jak sępy, krążą nad obszarem.

I biegam niespokojnie, wypytuję wszędzie,
Odwracając się w czwartą, zapomnianą stronę —
Którędy droga wiedzie, wskażcie choćby miedzę —
Pokazują mi stepy, żarem przepalone.

Grupa ludzi, patrzących z uporem na zachód
Zastygła, każdy z nich jest alegorią woli.
Nieruchomi, bezsilni, nogi grzęzną w piachu,
Podnoszą pięści w górę, złorzecząc swej doli,

Rozmawiam z nimi wzrokiem, język tu nie w mocy,
Nasze złączone ręce to gordyjskie sploty.
Zmęczenie zostawiamy w chłodzie krótkich nocy,
Wiedzeni nieomylnym kompasem tęsknoty.

Czasem wicher pod czaszką nurt spokojny zmąci:
Znad Wisły hiperbolą walą się na głowę
Wieże i kamienice skoszone na froncie.
A na mnie pod gruzami kapią łzy surowe...

I nikt z nas nie przeczuwał, że cel jest tak blisko,
Oznajmiało go trwożne drżenie otoczenia.
Bo drogę nam zagrodził mur z armat ognisty,
Owiany przez gryzący dym całopalenia.

Trzeba było mur zwalić wraz z fundamentami
I zniszczyć budowniczych zaciekle niszczących,
Bo za nami czekali z kielniami, młotami...

...Zeszliśmy do okopów, by zmienić walczących.

1941 r.

# POEZJE

**STANISŁAW WYGODZKI**

* * *

Mnie już wystarczy zwykły łachman,
jakiś żołnierski płaszcz wytarty,
abym się raźniej w drodze żachnął,
kiedy pójdę o kij oparty.

Mnie wystarczą jakieś chodaki
z dziurą, z łatą, z krzywym obcasem.
I w nich pewnie przepłoszę ptaki
kiedy pójdę borem i lasem.

Mnie już wystarczy izba mała,
zwykła, bielona, z jednym oknem,
abym widział jabłoń co drżała,
kiedy na deszczu kasztan moknął.

Mnie wystarczy to jedno drzewko,
o przemijaniu ono wróży —
wiosnę szemrzącą — zieloną śpiewką,
jesień żółtym liściem w podwórzu.

Bo mnie wystarczy, kiedy z traktu
dzieci do wioski biegną prędko,
gdzie ciężko sapiąc żniwny traktor
ciągnie przyczepkę jak cielątko.

## DROGA

Daleka jest droga od domu,
daleki odległy jest dom.
Nie mówię o tym nikomu,
zostawiam to nocy i snom.

Daleka jest droga, odległa,
z Monachium, przez Augsburg i Linz,
po szynach, po mostach, po cegłach —
links, links, links.

Daleka jest droga i trudna,
przez wicher i mrozy i śnieg,
a w końcu ulica odludna,
po której chodzę jak szpieg.

I wiem, że nie ma nikogo,
deskami drzwi zbite na x,
i chodzę, jak kiedyś, tą drogą —
links, links, links.

**STANISŁAW OSTROWSKI**

## LAS

Wyżej już tylko błękit —
wyżej już tylko myśl — —
źdźbło trawy weź do ręki —
na usta połóż liść.

Gotyk —
gotyk strzelisty
krążących sokami pni — —
las płynie żaglami sosen —
żywicą złocistą mży.

Przewaliły się burze nad lasem —
przewaliły się burze nad sercem — —
zieleń
zmęczone oczy
goi czerwcem.

Nim noc się różą dnia wykrwawi —
krokiem chłopięcym i tanecznym
(krokiem sprzed sześciu lat)
idziemy jawni i bezpieczni
w wonność szumiącą — —
w dziś bez krat.

**JAN HUSZCZA**

## PROLOG

Tam, gdzie druty telefoniczne przebiegają
przez drogę —
skręć w lewo, ku polu bez kolorów,
przez wyboje, noga za nogą,
aż staną konie przed chutorem.

— Niech będzie pochwalony...
— Na wieki...

Na klombach ryże jesieni plamy,
chmiele na ścian bierwionach poschły,
zaplątał się pod płotem nasturcji płomyk:
lada ranek zdmuchnie go przymrozkiem.

Na skraju poręby deszcz obmył kiść
jarzębinowych jagód,
a osika wiatrom rozdała swoje złoto,
tuli się do świerku naga.

Dzień odchodzi.
Żal błyskiem gasnącego promienia na
wodzie.

Dziewczęta, wracające miedzą,
ocierają się o szelest wyblakłych traw
i rżysk.

Wszystko tam moje:
i gorycz, i smutek, i błysk.

Osypany wspomnieniami jak śniegiem,
wołam:
tam — ja...
tam niskie, grząskie wieczory
syczą zabobon
nad butelką samogonu.

**WILHELM MACH**

# PROZA IWASZKIEWICZA

Siedem opowiadań, z których Iwaszkiewicz złożył dwie swoje nowe książki*) równocześnie prawie wydane, potwierdza doniosłą rolę tego pisarza w rozwoju współczesnej prozy beletrystycznej. Obydwa tomy zdumiewają obszernym zakresem zainteresowań i — co za tym idzie — różnorodnością podjętych tematów. Treść opowiadań w tomie „Nowa miłość" — bądź zaczerpnięta z dziejów ubiegłych stuleci, bądź pozaczasowa w tym znaczeniu, że nie uwarunkowa historycznie określoną rzeczywistością — odbiega na pozór daleko od osnowy dwóch wyodrębnionych utworów: „Stara cegielnia" i „Młyn nad Lutynią", których tłem są lata okupacji niemieckiej; na podstawie łączącego je pokrewieństwa „czasu" stanowią one osobną całość. Poprzez ów podział zdaje się przezierać intencja autora, aby te dwa opowiadania „wojenne" zaświadczyły o jego solidarności z ogólnym wysiłkiem pisarzy polskich, zdążającym do jak najpełniejszego zadokumentowania minionych przeżyć.

W gruncie rzeczy odrębność opowiadań „wojennych" jest dosyć powierzchowna i nie sięga głębiej poza warstwę umownego i ogólnikowo potraktowanego sztafażu: ukrywający się przed niemiecką policją „ktoś", denuncjacja, najście „zielonych" lub „czarnych", zakopany w ziemi rewolwer... Wojna czy okupacja nie jest w swej istocie centralnym ośrodkiem zainteresowania, nie stanowi celu przedstawienia ani dominującego motywu narracji; co najwyżej gra w tle groźnymi lecz stłumionymi odgłosami, zabarwia swoistym nastrojem treść dziejących się zdarzeń, a wreszcie dostarcza konstrukcyjnie potrzebnych pretekstów dla rozwoju właściwej akcji, budowanej zawsze na konflikcie psychologicznym, który bywa niezależny od takich czy innych warunków zewnętrznych. W każdym czasie znajdzie się dosyć okoliczności, za których pomocą można opowiedzieć dramat jednostki pokłóconej z rygorami kodeksów prawnych, zobrazować ohydę zdrady, piękno wierności i poświęcenia, surowy urok sprawiedliwości.

Treścią „Starej cegielni" jest historia podwarszawskiego złodziejaszka Wacka, który wskutek bogatych perypetyj uczuciowych, powikłanych z losami kilkorga innych jeszcze osób, staje się niemal bohaterem, poświęcając życie dla ratowania zadenuncjowanego „kogoś" (trudno określić wyraźniej „patriotyczną rangę" przechowywanego w cegielni pana Karola, w którego „ważność", osłoniętą do końca sekretem, trzeba wierzyć trochę na słowo, a raczej na półsłowa i aluzje). W „Młynie nad Lutynią" spotykamy — nieco podobnie — ukrywającego się przed Niemcami księdza, którego w ręce policji wydaje wyrodny młokos Jarogniew, wnuk zagorzałych Polaków, otumaniony hitlerowską propagandą. Dramat dwojga starych ludzi, młynarza Franciszka Durczoka i jego żony Elżbiety, poczęty jeszcze w pierwszych latach ich pożycia na podłożu zdrady małżeńskiej, osiąga kulminację w owej podłej zdradzie wnuka-odszczepieńca i dopełnia się aktem okrutnego lecz sprawiedliwego samosądu: młynarz karze Jarogniewa śmiercią przez powieszenie.

Obydwie sprawy: „sprawa Wacka", z problemem psychologicznym i „sprawa Durczoka" z problemem moralnym — dadzą się przenieść na dowolne tło historyczne, wystarczy zmienić scenerię i akcesoria. Okupacja niemiecka nie przydaje tym sprawom jedynego i niepowtarzalnego sensu, który by wzbogacił wiedzę przyszłego pokolenia o jedynej i niepowtarzalnej treści minionych lat wojny, ważnej dla wszystkich, którzy ją przeżyli. **Wojna 1939—1945** w opowiadaniach Iwaszkiewicza jest dostawczynią **środków** dla realizowania nie-wojennej fabuły, ale te środki są jednymi z wielu możliwych, prowadzących do tego samego celu;

*) **Jarosław Iwaszkiewicz.** Nowa miłość i inne opowiadania. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 237 i 5 nl.
**Jarosław Iwaszkiewicz.** Stara cegielnia. Młyn nad Lutynią. Warszawa, „Panteon", 1946; str. 144 i 1 fotografia.

Jarosław Iwaszkiewicz

wojna w „Starej cegielni" i w Młynie nad Lutynią" nie jest konieczna.

Dlatego też podział opowiadań na dwa tomy nie przeszkadza w gruncie rzeczy wspólnemu rozpatrywaniu ich, gdyż łączą się one tym samym dnem: jest nim upodobanie autora do wnikliwej i precyzyjnej analizy psychologicznej, do przedstawiania niezwykłej złożoności ludzkiego wnętrza, do obserwacji i zapisu dramatycznych napięć, jakie wynikają ze starcia się różnych indywidualności. Pasja psychologa-odkrywcy nasyca obydwie książki; w tomie „Nowa miłość" wyraża się istną rewią kapitalnie postawionych postaci, dobytych z różnych środowisk i z różnych czasów — jak gdyby na dowód, że człowiek wszędzie i zawsze jest jednakowo hojnie wyposażony przez naturę w pełne niezliczonych odcieni i najdziwniejszych niespodzianek bogactwo życia wewnętrznego. Wpływ środowiska socjalnego i związanego z daną epoką „ducha czasu" pomnaża to bogactwo przyrodzone, kształtując je w przeróżny sposób, przyoblekając w formy coraz to inne, indywidualizowane bez końca: stąd w galerii postaci Iwaszkiewicza każda jest kimś odrębnym, nie powtarza nawet zewnętrznym wyglądem kogoś innego. Niewyczerpanej pomysłowości „natury" nadąża Iwaszkiewicz zdumiewającą wyobraźnią — zdumiewającą tym więcej, gdy się pomyśli, dla ilu nieprzeciętnych nawet pisarzy budowanie zróżnicowanych postaci jest trudnością ponad siły i w ilu książkach poszczególni bohaterowie różnią się tylko imionami.

Rozmaitość tematyczna w zbiorze „Nowa miłość", wywołująca na pierwszy rzut oka wrażenie przypadkowości i braku przewodniej idei kompozycyjnej, jest w istocie popisem doskonałej swobody i łatwości w formowaniu „ludzi" i „spraw".

Najstarsza wiekiem, bo oznaczona datą napisania 1926 r., nowela tytułowa jest dramatem uczuć, rozegranym w ciągu krótkiej chwili pomiędzy dwoma dźwiękami wejściowego dzwonka u drzwi: bohater opowiadania wie, że to przychodzi oczekiwana przez niego „nowa miłość" — lecz widok więdnących w wazonie róż nasuwa mu obraz całego dotychczasowego życia, wypełnionego pogonią za fantomem, za złudą szczęścia, którego nie da się nigdy naprawdę osiągnąć; widmo nieuchronnej starości podpowiada starą, salomonową prawdę: „vanitas vanitatum", opadłe do szczętu płatki kwiatów zdają się szeptać to samo — i oto w wyniku tych melancholijnych refleksyj bohater nie otwiera drzwi, rezygnuje z miłości.

W najbliższym sąsiedztwie tej wystylizowanej kunsztownie alegorii umieścił autor — jak gdyby dla kontrastu — opowieść o wiejskiej dziewczynie. starzejącej się Róży, która za zarobione na służbie w mieście pieniądze „kupuje" sobie męża grubo od siebie młodszego, a gdy ten umiera zaraz po ślubie, nie nasyciwszy jej tęsknoty miłosnej — zdobywa sobie obietnicą zegarka nowego narzeczonego, nieletniego jeszcze chłopaka... Czekając aż przyszły mąż dorośnie, wraca do miasta na służbę, aby zarobić na ów przyrzeczony chłopcu zegarek — warunek i zakład szczęścia. — „Róża" — to świetne studium chłopskiego uporu w osiąganiu zamierzonego celu, studium bezwzględnej, biologicznej afirmacji życia przez ludzi zrośniętych z ziemią. Róży nie złamie niepowodzenie, nie odstraszy śmierć, nie dosięgnie rezygnacja. Niezmożona ciężką harówką ani urąganiem ludzkim walczyć będzie o prawo do swego skromnego, prymitywnie pojętego „szczęścia", wyszarpie je z nędznego żywota choćby pazurami, na siłę, — podobna karłowatej sośnie uczepionej na wydmisku i pyszniącej się przez rok cały nieznużenie chętną zielenią, na przekór niewdzięcznym, jałowym piachom. — Ten jedyny w obydwóch tomach utwór pobrzmiewający tonami optymizmu przywodzi na myśl krzepką i surową literaturę skandynawską.

Opatrzone tą samą datą co „Róża", opowiadanie „Zygfryd" (1936) — splata historię prowincjonalnego miłośnika starej sztuki kościelnej, światowego ongiś człowieka a na starość dziwaka, odludka i mizantropa — z dziejami akrobaty cyrkowego, wdziękiem młodości czarującego chłopca. Zawiązana pomiędzy nimi nić sympatii staje się przyczyną klęski i dla pana Karola i dla Zygfryda. Młody człowiek, któremu dopiero rozmowy z doświadczonym przyjacielem i jego książki otworzyły oczy na bogactwo życia, na uroki świata, na skarby piękna i wiedzy będące udziałem cudownie wolnych ludzi, a zamknięte przed nim, wyrobnikiem w podrzędnym cyrku, popełnia samobójstwo podczas swego występu na arenie; pan Karol, świadek tej śmierci, umiera na atak sercowy.

Dwa pozostałe opowiadania czerpią swoją treść z autentycznych zdarzeń, zapisanych w źródłach historycznych XVII w.

„Bitwa na równinie Sedgemoor" rozwija wzmiankę z „Dziejów Anglii" Macaulaya o daremnym poświęceniu młodej dziewczyny Anny Hewling w czasie walk o koronę pomiędzy Jakubem II, katolikiem, i ks. Monmouthem, protestantem. Przed rozstrzygającą bitwą, w której wojska uzurpatora Monmoutha poniosły klęskę, Anna, fanatyczna zwolenniczka katolickiego Jakuba, spieszy do obozu wojsk królewskich, aby ostrzec dowódcę o mającym nastąpić nocą ataku przeciwnika. Nie dostaje się jednak do dowódcy; zatrzymana przez pijanego oficera, przeżywa straszną noc w jego namiocie — gorycz hańby i lęk o wynik bitwy, który może być jak najgorszy, ponieważ nikt nie chce brać serio przyniesionych przez nią wiadomości. W powrotnej drodze z obozu, wśród zgiełku i ognia rozgorzałej wczesnym świtem walki, traci braciszka, który jej towarzyszył. Ostatecznie zaś okazało się, że wojska królewskie zwyciężyły Monmoutha mimo początkowe zaskoczenie. — Tak więc cała tragiczna wyprawa Anny okazała się niepotrzebna.

„Matka Joanna od Aniołów" — to powieść o „opętanej przez diabła" mniszce i egzorcyście, księdzu Surynie; świątobliwy kapłan, przejęty żarliwym pragnieniem, aby uwolnić matkę Joannę ze szponów szatana choćby za cenę największej ofiary — osiąga swój cel, lecz sam ulega opętaniu. W zamian za przyrzeczenie, wydarte od złego ducha, że pozostawi on już na zawsze umiłowaną Joannę w spokoju — oddaje diabłu własną duszę i stacza się w najokropniejsze mroki szaleństwa i zbrodni.

Ta posępna opowieść o akcentach wstrząsającej grozy jest prawdziwym popisem kunsztu literackiego, miarkowanego niezwykłym taktem artystycznym. Ryzykowny temat — zagrażający przerysowaniem, przejaskrawieniem drastycznych momentów, dobywanych z trzęsawiska psychopatologii i chorobliwej mistyki — został przez pisarza opracowany tak, że zachowując w pełni nienaruszoną „barwę epoki" — pozwala domyślić się w każdej chwili realistycznego i psychologicznego podłoża wszystkich niesamowitości, czarów i cudów, których siedliskiem jest klasztor opętanych zakonnic. Lekka stylizacja po linii siedemnastowiecznych wierzeń, zabobonnych i zacofanych, jest niedostrzegalnie zespolona z takimi napomknieniami i sugestiami, które prostemu nawet czytelnikowi umożliwią właściwą interpretację opisywanych wypadków: prowadzony umiejętnie przez autora znajdzie on właściwą nazwę dla „diabła" i „opętania". Ale, co więcej, — mimo że rozwiąże „metafizyczny szyfr" dobywając spod osłon demonologicznych niezwykłości prawdziwy tekst zdarzeń, demaskujący jakże pospolite, jak grube i prostackie ułomności ludzkie — nie obrzuci obelgami politowania godnych bohaterów powieści, zachowa dla nich pełne wyrozumienia współczucie. Pomyśli z ulgą, o ile szczęśliwszy jest człowiek dzisiejszy, wydobyty przez naukę z otchłani błędu, przesądów, najokrutniejszej samoudręki i przerażenia. Pomyśli jednak i o tym, że mimo dokonany od tamtych czasów postęp ludzkości, wciąż jeszcze jawi się na ziemi szatan, by spełniać dzieło opętania; przeżyliśmy co dopiero zbiorowy obłęd „nadludzi", zaczadzonych szaleńczym pragnieniem boskiej władzy nad życiem i śmiercią, skuszonych podszeptami Lewiatana, demona pychy, — przeżyliśmy piekielny sabat krematoriów, ekstatyczne konwulsje „wodzów" — i dziś, czytając „Matkę Joannę od Aniołów", potrafimy ułożyć równanie pomiędzy przeklętym klasztorem w Ludyniu a Europą dni wczorajszych.

Wydaje się, że „Matka Joanna od Aniołów", dzięki związanemu z tym opowiadaniem materiałowi skojarzeń i dzięki utajonej w nim sile ewokowania w umyśle czytelnika aktualnych refleksyj, jest utworem bardziej „wojennym" niż „Stara cegielnia" i „Młyn nad Lutynią". Bardziej „wojennym" w tym sensie, że nie poprzestając na rejestracji faktów, na opisie, skłania do wysnucia wniosków i do ustalenia pewnych sądów i ocen. Wymierzają one sprawiedliwość czasom minionym i — co ważniejsze — inspirują kierunek przyszłości.

Już ten pobieżny przegląd zawartych w obu tomach opowiadań daje wyobrażenie o bogactwie i rozmaitości ludzi i spraw przewijających się poprzez stronice doskonałej prozy Iwaszkiewicza.

**Ludzie** są różni; ich „wygląd" duchowy zależy od czasu, w jakim żyją i od warunków, jakie ich otaczają — kulturalnych, gospodarczych, społecznych, politycznych... Rozpiętość różnic pomiędzy poszczególnymi postaciami świadczy o niebywałej intuicji psychologicznej autora, jest sprawdzianem rzadkiej i cennej umiejętności artystycznego „współczucia", dzięki której jedynie może pisarz oderwać się od powtarzania samego siebie w nużących wariantach autobiograficznych. Wśród utrzymującej się od międzywojennych lat mody na introspekcyjne szperactwo, pamiętnikarski ekshibicjonizm, buddyjskie zapatrzenie się w siebie — opowiadania Iwaszkiewicza uderzają rozległością spojrzenia na innych ludzi i dyskrecją. Stąd bierze źródło czystość jego epiki pozbawionej nalotów niepotrzebnego w prozie liryzmu. To sprawia również, że sztuka Iwaszkiewicza jest humanistyczna: nie jest to humanizm egotycznych; zawsze interesownych i stronniczych wynurzeń, lecz humanizm płynący z ciekawości człowieka i jego spraw.

W przeciwieństwie do różnorodności i zmienności postaci — **sprawy** reprezentowane przez nie posiadają pewien stały, powtarzalny wykładnik. Różność poszczególnych spraw sprowadza się do elementarnych, podstawowych wartości moralnych, tych samych, a co najmniej podobnych w każdym czasie i w każdym środowisku. Powszechna ich ważność zdaje się niwelować przepaście wieków dzielące pokolenia i równie głębokie przepaście różnic społecznych i kulturalnych, położone pomiędzy ludźmi tej samej epoki. Już to tylko, że wiele czynów jawi się w następstwie tych samych popędów wrodzonych, np. popędu seksualnego, skłania autora do uproszczonej, bo jednakowo wyrozumiałej i łagodnej oceny różnych skądinąd postępków: stąd łagodna pobłażliwość dla Róży, której miłosne pragnienie dodaje

wytrwałości w pracy, i dla Wacka, który poprzez miłość staje się bohaterem, i dla księdza Suryna, którego uczucie doprowadza do zbrodni. Posłuszeństwo wobec niezmiennych rygorów moralnej sprawiedliwości oraz porywy poświęcenia i ofiary zdają się również towarzyszyć człowiekowi wraz z pochodem wieków i zbliżać do siebie przedstawicieli różnych narodów i klas socjalnych, stanowiąc dziedzictwo powszechne, przekazywane poprzez pokolenia. Tak samo ofiarnie poświęca się dla swojej sprawy Anna Hewling, Angielka z patrycjuszowskiego domu mieszczańskiego, jak i Wacek Mielczarek, jednooki urwisz pruszkowski. — Odniesienie sądu moralnego wyłącznie do jednostki, rozstrzyganie zagadnień etycznych jako jej „sprawy osobistej", prywatnej, bez powołania szerszych kryteriów społecznych nasuwa wątpliwość, która została już wyrażona w związku z „Cegielnią" i „Młynem" — wątpliwość, czy utwory Iwaszkiewicza oddziaływują wychowawczo.

Postawa autora nie zaznacza się bowiem wyraźnie, jest zaciemniona i enigmatyczna. Wyjątkowa pozycja „Matki Joanny od Aniołów" tłumaczy się stosunkowo najbardziej widocznym stanowiskiem pisarza, zadeklarowanym przez dyskretną, lecz dość uchwytną ironię i dezaprobatę. Ale na przykład przy lekturze „Młyna nad Lutynią" nasuwają się podejrzenia co do czystości pobudek, jakie skłoniły starego Durczoka do wykonania wyroku na zdrajcy Jarogniewie.

Czy istotnie chodziło tylko o to, aby sprawiedliwości stało się zadość? Młynarz od wielu lat, jak wynika z tekstu, tai w sobie zatrutą myśl, że Jarogniew nie jest jego prawdziwym wnukiem, lecz wnukiem dziedzica z Hilarowa, który niegdyś często do młyna zaglądał. Podobieństwo chłopca do dziedzica niejeden raz uderza Durczoka i przypomina zastarzałą, upokarzającą wątpliwość co do wierności żony i prawego pochodzenia ich jedynej córki, a matki Jarogniewa. W takim stanie rzeczy akt sprawiedliwości, karzący narodowe przeniewierstwo chłopca, wygląda w znacznej mierze jak wykorzystanie okazji, aby załatwić stare porachunki z kochliwym dziedzicem mszcząc się na jego nieprawym wnuku. Autor przywiązuje do historii rodzinnej Durczoków dużą wagę, jej wyjaśnienie umieszcza na samym końcu opowiadania jako pointę — mamy więc prawo przypisywać jej wpływ na decyzję młynarza co do Jarogniewa. W przeciwnym razie obecność tego wątku w utworze nie tłumaczyłaby się żadną istotną potrzebą. Ale też zespolenie motywów osobistych z motywami moralnymi wyższego rzędu osłabia znacznie walor „sprawiedliwego" czynu młynarza, stawia jego słuszność pod dużym znakiem zapytania, a stąd już niedaleko do zarzutu pospolitej zbrodni. Tej wątpliwości nie załatwi zapewnienie Franciszka, że wieszając Jarogniewa wyręczył Pana Boga, zbyt opieszałego w karaniu.

Niewiele lepiej przedstawia się sprawa „bohaterstwa" Wacka w „Starej cegielni". Po prawdzie on sam nawarzył piwa, które w końcu musiał wypić. Gdyby nie to, że zdradził kryjówkę Karola pannie Klaruni, aby się jej tym zwierzeniem przypodobać, nie doszłoby do katastrofy. Wacek, decydując się osłaniać ucieczkę Karola, musiał zdawać sobie sprawę, że przychodzi mu odpokutować popełniony przez siebie samego grzech. Ale i tak nie wiadomo, czy proste poczucie obowiązku skłoniłoby go do naprawienia winy, gdyby nie desperacki nastrój z powodu zawiedzionej miłości. Cały ciąg opowieści świadczy o tym, że jedynym względem, jakim się Wacek w swym postępowaniu kierował, była chęć pozyskania sobie Klaruni. Gdy stracił co do tego ostatnią nadzieję (a rzucił na szalę wszystko, łącznie z sekretem „starej cegielni") — życie straciło dla niego sens. Bohaterski gest końcowy jest więc właściwie samobójstwem z miłości.

Nuta pesymizmu i zwątpienia pobrzmiewa we wszystkich utworach, poprzez wszystkie postacie. Pan Karol z „Cegielni" w scenie z Jasiem przemawia jak „dekadent" w prostej linii od Przybyszewskiego („Ach, Jasiu, ja już w nic nie wierzę"). „Bitwa na równinie" jest wyrazem pesymizmu historycznego — ukazuje bezsens wszelkich ludzkich poczynań, nie mających najmniejszego wpływu na zdeterminowany przeznaczeniem bieg wydarzeń. Pisarz, przedstawiwszy niepotrzebny dramat poświęcenia, nie odmówił sobie dodatkowej satysfakcji, informując w zakończeniu, że Anna w późniejszym wieku przeszła z katolicyzmu na presbiterianizm. Ironiczny sens tego faktu uwydatni się, gdy uprzytomnimy sobie, że pamiętną wędrówkę do obozu wojsk królewskich podjęła Anna wskutek fanatycznego wprost przywiązania do religii katolickiej. Wspominając smutną omyłkę młodości „Anna miała wrażenie, że jakaś ogromna fala podniosła ją ku górze, ominęła, przeszła, rozpłynęła się i pozostawiła ją jak złamaną muszlę na piasku". Zawarta w tym porównaniu aluzja do roli jednostki w świecie jest niedwuznaczna. — Pesymizm życiowy cechuje bohaterów opowiadań „Nowa miłość" i „Zygfryd". Nawet „Róża" nie jest od niego wolna; wprawdzie sama bohaterka noweli jest dobrej myśli, mimo dotykające ją niepowodzenia, a autor, zawieszając jej przyszłe, niewiadome losy, kończy życzeniem „szczęść Boże, Różo!" — lecz kontekst tchnący pobłażliwą ironią świadczy, że w tym okrzyku jest dużo ciepłego zainteresowania dla mrówczego uporu dziewczyny i dużo sympatii — lecz mało wiary w skuteczność życzeń i w pomyślny rezultat wysiłków Róży.

Najmocniej wyraził się pesymizm pisarza w opowiadaniu „Matka Joanna od Aniołów". Analiza przeżyć duchowych księdza Suryna zasługiwałaby na specjalne studium, tak wiele dostarcza materiału dla pełnej charakterystyki światopoglądu autora, który w innych opowiadaniach zaznacza się mniej wyraźnie, wkomponowany niedostrzegalnie, jakoś „bezosobiście" w tok opowieści o cudzych losach. A jednak stanowi on najistotniejszy pokład twórczości Iwaszkiewicza — najmniej widoczny, bo najgłębszy. Specjalny urok prozy Iwaszkiewicza polega bodajże na zestrojeniu negatywnych treści znaczeniowych ze stylistyczną werwą, z konwersacyjną żywością języka, pełnego humoru i zwrotów czerpanych z mowy potocznej. Sugestia środków stylu jest tak wielka, że nieraz zwodzi przez dłuższy czas czytelnika pozorem niefrasobliwości, by tym dotkliwiej dać mu odczuć bolesny i beznadziejny sens w finale.

Czytelnik, którego interesuje droga wiodąca od realnych faktów życiowych, do utworu literackiego przetwarzającego artystycznie owe fakty — może po lekturze „Matki Joanny" sięgnąć do źródłowych relacyj o wydarzeniach, które dostarczyły pomysłu do tego opowiadania i wypełniły jego fabułę. Bez uciekania się do tekstów oryginalnych znajdzie dokładne streszczenie „sprawy Joanny" w „Historii medycyny" Władysława Szumowskiego („Historia choroby siostry Joanny Urszulanki, 1627—1665, i zarazem historia epidemii opętania w klasztorze w Loudun, 1632—1639"); znajdzie tam również protokoły kilku podobnych spraw i ostatnich procesów „czarownic" — materiał wystarczający dla uzupełnienia lakonicznej informacji autora, umieszczonej przed właściwym tekstem opowiadania. — Dopiero wówczas oceni wysoki kunszt pisarski Iwaszkiewicza, który z suchych notat protokolarnych stworzył dzieło pulsujące krwią, życiem — uderzające plastyką i wizualnością opisu, realistyczną i psychologiczną prawdą akcesoriów, dialogów, postaci... Wierność historyczna, zachwiana przez przeniesienie akcji z Francji na polskie kresy wschodnie, jest tu sprawą drugorzędną. — Ale przez porównanie źródeł z realizacją artystyczną stwierdzi czytelnik również, jak bardzo w owej trawestacji literackiej odsłania się pesymistyczna postawa Iwaszkiewicza, wyrażona poprzez te momenty, które są już jego wyłączną „własnością" autorską: poprzez analizę psychologiczną (szczególnie w odniesieniu do ks. Suryna) i interpretację faktów; zakończenie powieści informuje, podobnie jak w „Bitwie na równinie", że ofiara egzorcysty dla sprawy zbawienia Joanny, ofiara ukoronowana potworną zbrodnią, była zupełnie daremna: histeryczna zakonnica została „opętana" ponownie, wreszcie „w parę lat potem wyzdrowiała na dobre i do końca długiego żywota sprawowała rządy nad Urszulankami ludyńskimi". Śmierć jej była — jak autor zapewnia — „świątobliwa".

Wszystkie dotychczasowe uwagi i zastrzeżenia, odnoszące się do **znaczeniowych** treści opowiadań Iwaszkiewicza, wyczerpują małą zaledwie cząstkę tych bogatych przeżyć, jakie towarzyszą lekturze jego dwóch ostatnich książek. Trzeba wyznać, że obiekcje światopoglądowe, wysunięte na czoło niniejszych rozważań, jawią się w trakcie czytania najpóźniej — a raczej dopiero po przeczytaniu, kiedy już tylko myślą i świeżą pamięcią powtarza się raz jeszcze przebytą z autorem drogę. Wtedy, gdy nie działa już bezpośrednio magia świetnego stylu, sugestywnych opisów, wartkich dialogów — dopiero wtedy można się zastanawiać, jakiemu celowi służą tak wyborne środki, jaki ma sens i do czego zmierza frapująca fabuła.

Czytając „Starą cegielnię" czy „Matkę Joannę" rozumie się, co to jest **opowiadanie**; termin ów nie jest przypadkowy i obojętny dla uprawianego przez Iwaszkiewicza gatunku literackiego, nie określa jego utworów tylko formalnie, lecz oddaje swą treścią znaczeniową najistotniejszą cechę narratorskiego talentu pisarza, który właśnie umie **opowiadać** jak mało kto. Twórczością swoją świadczy Iwaszkiewicz tradycyjnemu powołaniu prozy epickiej: każdym utworem udowadnia, że bez uciekania się do wyrafinowań formalistycznych można dać czytelnikowi lekturę treściowo ciekawą, nieraz prawie sensacyjną, bez najmniejszych jednak koncesji na niekorzyść formy, bez kompromisu krzywdzącego artystyczną prawdę dzieła.

Idealna harmonia pomiędzy zajmującą fabułą i nieskazitelną formą, owoc długoletniej pracy pisarskiej, stawia dziś Iwaszkiewicza w rzędzie klasyków polskiej prozy, przy czym termin „klasyczność", w tym wypadku zastosowany, nie zawiera najmniejszego odcienia skostniałości, doskonałości zakrzepłej i zimnej, bo talent Iwaszkiewicza jest wciąż dynamiczny i czuły na zmieniającą się rzeczywistość. W dobie obecnej autor „Starej cegielni" jest bodaj jedynym pisarzem wczorajszego pokolenia, który chce i umie utrzymać kontakt z najnowszymi dążeniami i tendencjami twórczości prozatorskiej. Iwaszkiewicz-klasyk jest jednym z najbardziej **żywych** pisarzy współczesnych.

**Wilhelm Mach**

# SPRAWA PRECYZJI

„Odrodzenie" z 15 września przytoczyło bardzo interesującą opinię Jaracza. Wielki artysta miał grać jesienią 1939 roku „Otella". Postarał się wtedy o nowy przekład utworu, pióra Zofii Siwickiej. Przyszła wojna, aresztowanie, choroba; Jaracz nie zrealizował swego zamiaru. Ale o Otellu myślał nadal. Jego notatka, w której chwali nowy przekład za jego, jak się wyraża, „dynamiczność", pochodzi z dnia 1 lipca 1945.

Na czym ta dynamiczność polega? Przede wszystkim na zwięzłości, krótkości i celowości słowa. Jaracz przytacza przykład: „Desdemona wykręca się od przyniesienia nieszczęsnej chustki. Otello, zdobywając potwierdzenie podejrzeń, nalega coraz natarczywiej. Wreszcie przerywa trzykrotnie paplaninę Desdemony jednym słowem: „chustka". Pękające trzykrotnie to jedyne słowo narasta w grozę. Ta krótka scena, to wspaniały temat dla wyobraźni aktora. I oto co znajduję u Paszkowskiego: zamiast trzykrotnego „chustka", czytam: „Idź po chustkę!" Każdy początkujący adept sceniczny zdaje sobie sprawę, jaka to jest dla aktora różnica".

Nie tylko z punktu widzenia aktora zwięzłość, dążenie do precyzji i oszczędność — są ważne, często decydujące. Jaracz wyczuł dobrze, że w tym się wyraża jedna z ważnych tendencyj całej nowej sztuki. Nazywa ją tendencją nowoczesną, więc dostrzega jej nowość, nieomal — rewolucyjność.

Proklamowała ją nowoczesna liryka, liryka Awangardy. Usiłowała ona usunąć modernistyczną „rozlewność", muzyczność i nastrojowość. Słowo w poezji awangardowej dźwiga nieraz na swych barkach ciężar całego zdania. Jedno zdanie streszcza ogrom długich przeżyć — jedno słowo otwiera perspektywy na cały splot doznań. Metafora i elipsa, ulubione środki tej poezji, stoją w ścisłym związku z tendencją, by unikać wszystkiego — co może być usunięte.

Nieco później poszła tą drogą poezja dramatyczna. Pisałem kiedyś o francuskiej „szkole milczenia", która była reakcją przeciw wszelkiej teatralnej retoryce, nawet tej, którą jeszcze dopuszczał naturalizm. Czy w życiu wyjawiamy wszystko, co się w nas dzieje? Czy nie ma spraw ledwo uświadomionych, zazdrośnie strzeżonych, nie zdradzanych nikomu? I czy te sprawy nie są nieraz najbardziej interesujące, najbardziej dramatyczne, najistotniejsze? „Szkoła milczenia" posuwała tę tendencję bardzo daleko, aż ku krawędziom możliwości. Ale jej zdobycze w tym kierunku były istotne: np. w pewnej sztuce dwoje ludzi kochających się nie tylko nie wyjawia sobie miłości, ale się nawet nie spotyka.

Tendencja ta musiała się odbić i na samym języku dramaturgów, nie tylko na konstruowaniu sytuacji. Czytam właśnie i przekładam sztukę młodego dramaturga francuskiego, Alberta Camusa, „Caligula". Jakaż tam krańcowa, po prostu zapierająca dech w piersi lapidarność. Na cztery akty, trzy kończą się efektem — jednego słowa. Całe sceny zawierają dialogi tak krótkie jak błysk, jak uderzenie miecza! A jednak mam wrażenie, że w skrótach tych zdołał autor powiedzieć wszystko, co chciał. Podobnie w „Pasażerze bez bagażu" Anouilha autor sam porównuje akcję sztuki — do matematycznie dokładnego, policyjnego śledztwa.

Pisarze polscy, których utwory oglądamy obecnie na scenie (myślę o pisarzach przodujących!), odbyli tę samą wyraźną ewolucję ku oszczędności, skrótom i kondensacji. Prawda, że niektórzy od dawna szli w tym kierunku. Szaniawski, ukazując w pierwszym akcie „Dwóch teatrów" autora dramatycznego, odpowiadającego tylko jednym wyrazem na każde zadane mu pytanie, chciał zapewne pośmiać się nieco z samego siebie. Ale nie tylko jego osobista, życiowa małomówność została tu sportretowana; pamiętamy, jak krótki i zwarty był zawsze dialog Szaniawskiego, ile starał się zmieścić w jednym słowie, jak odważał każdą linijkę druku, jaką odczuwał niechęć do rozwadniania zagadnień. Nie darmo mówimy, że autor „Żeglarza" patronuje (wraz z Morstinem i Staffem) nowoczesnemu polskiemu dramatowi poetyckiemu.

Nie znaczy to, bym uważał nowych polskich dramaturgów za uczniów Szaniawskiego. Ale nie trudno byłoby wykazać, że właśnie owa celność i krótkość jest wspólną właściwością tak odległych od siebie talentów jak Świrszczyńska i Gaycy, Flukowski i Grzybowska, Otwinowski i spółki: Andrzejewski-Zagórski, czy Breza-Dygat i inni.

Maria Bechczyc-Rudnicka, omawiając w „Zdroju" z dnia 1 września mój artykuł w „Teatrze", zastrzega się, że „nowość (środków, jakimi według mnie działa nowy dramat poetycki), jak np. dążenie do precyzji i oszczędności języka, należy podać w wątpliwość". Recenzentka nie rozwija bliżej swej myśli. Niemniej, chciałbym rozpocząć dyskusję.

Czy dążenie do precyzji i oszczędności jest naprawdę „nowością"? Z przykładu, podanego na wstępie, okazuje się, że np. za czasów Paszkowskiego lakoniczność nie była u nas wcale popularna! Na pewno cieszyła się złą opinią, opinią niepoetyczności. Tendencja sprzeczności z samoograniczeniem w zakresie słowa osiągnęła szczyty nieco później, w okresie Młodej Polski. W powieści hołdowali jej Żeromski („Popioły") i Reymont, w dramacie Rydel, Przybyszewski, Miciński, Kasprowicz, Nowaczyński. Wiemy też, że sprawa ta zaciążyła nawet nad twórczością Wyspiańskiego. Z wyjątkiem „Wesela", „Sędziów" i „Nocy listopadowej", kondensacja nie zjawia się tutaj zbyt często. Twórca „Bolesława Śmiałego" miał genialną wyobraźnię teatralną. Ale z jakimże trudem trzymał na wodzy swój rozpędzony wiersz!

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Lakoniczność nie jest nierozdzielnie związana z naszymi pojęciami estetycznymi. (Najlepszym dowodem Szekspir). Nie chcę też twierdzić, by była koniecznym warunkiem dramatycznego działania. Z rozkoszą wsłuchuję się w kadencje wiersza kalderonowskiego lub w długie tyrady „Barbary Radziwiłłówny". Ale wydaje mi się, że w przybliżeniu można postawić znak równości między postulatem zwięzłości a ideami teatru naszej epoki. Sądzę, że właśnie zadaniem krytyka jest uchwycić rysujące się tendencje i pewne choćby kontury rodzących się zjawisk.

**Wojciech Natanson**


**BIBLIOTECZKA POPULARNO-NAUKOWA „KSIĄŻKA"**

ZAJĄCZKOWSKI
DZIEJE ZAKONU KRZYŻACKIEGO
40.— zł

LANGEVIN
ERA PRZEMIAN
15.— zł

SUBBOTIN
POCHODZENIE I WIEK ZIEMI
18.— zł.

W. NIKOLSKI i N. JAKOWLEW
JAK LUDZIE NAUCZYLI SIĘ MÓWIĆ
20.— zł.

254

Już ukazał się 101-szy numer
DWUTYGODNIKA
**„TRYBUNA WOLNOŚCI"**

W treści:
Józef Kowalczyk — Droga wzwyż. Stefan Tarnowski — Rację mamy — my! J. Druto — Narodowy plan gospodarczy. Zenon Kliszko — O nowej ordynacji wyborczej. Wł. Sokorski — Aktualne problemy ruchu zawodowego. Maria Turlejska — Zaczątki Polskiej Partii Robotniczej. Fakty i materiały — Francja walczy o demokrację — Dowody siły — W walce o jednolity front — Rola Kom. Partii Anglii — Uchwały Plenum KC. Kom. Partii Francji — Na łamach prasy — Z życia Partii — Wśród książek — Kalendarz wydarzeń

Cena 8.— zł.

271

JAN REYCHMAN

# W Słowacji — po latach

### DWA ŚWIATY

Była znów wiosna i maj, łąki były pokryte kwiatami, małe stacyjki tonęły w cieniach kasztanów i akacyj. I znów jechałem tą samą linią z Bogumina ku granicy słowackiej jak kiedyś, jak wtedy w maju 1937, kiedy ostatni raz przebiegałem tędy w dawnej Czechosłowacji, tej przedmonachijskiej Czechosłowacji, dziś już będącej tylko jakąś legendą, mitem, jakimś wspomnieniem, czymś takim jak wiktorianska Anglia, jak „trzecią" republika francuska sprzed 1914 roku czy Hiszpania z epoki Izabelli. Małe stacyjki migały przed oknami wagonu swymi nazwami zręcznie przerobionymi z polskich, wsiadali i wysiadali jacyś ludzie miejscowi to do pracy, to z pracy, to na targ. Zdawało się, że się nic nie zmieniło, że żyjemy wciąż jeszcze w jakimś przedłużonym 1938 roku.

Na stacji w Boguminie kręcą się tacy sami policjanci, w takich samych jak ongiś mundurach, z wielką blachą herbową na czapce, tacy sami celnicy czy kolejarze, na ścianach takie same zielone afisze propagandowe głoszące piękno jakichś okolic, w kiosku takie same lub nawet tymi samymi czcionkami tytułowymi nagłówki gazet „Rude Pravo", „Narodni Osvobozeni", „Pravo Lidu"... Znad bufetu spogląda na nas taka sama uśmiechnięta twarz Benesza jak „wtedy". Nigdzie, może w żadnym z krajów, które przeszły cały wstrząs lat 1939—1945 fikcja powrotu do tego, co było przed 1938 nie jest tak forsowana i to właśnie najbardziej przy pomocy tych zewnętrznych pozorów, przy pomocy wszystkich owych akcesoriów, w których takimi mistrzami potrafią być Czesi...

A jednak... Ten kraj, przez który jedziemy, od owej wiosny 1937 przeszedł wszystko: i kryzys czechosłowacki od maja 1938 poprzez „runcimannadę" do Monachium, i wkroczenie wojsk polskich i 10 miesięcy rządów polskich i wojnę z września 1939, i 6 lat rządów hitlerowskich, które tu wyjątkowo długo — do maja 1945 r. — się utrzymały i wojnę o „bramę morawską" wiosną 1945 i wreszcie powrót władz czeskich.

Czy nic z tych 6 koszmarnych lat nie pozostawiło swego śladu? Pozornie nic. Śladów wojny po drodze widzi się mało. Jeżeli były gdzieś nawet zniszczenia, są one zacierane w tempie dużo szybszym niż u nas w Polsce, stacje są wszędzie odbudowane, mostki są wszędzie nowe i to nie prowizoryczne z drzewa, ale solidne, z kamienia i żelaza. A jednak... Gdy jechałem wtedy wiosną 1937, napisy na stacjach były wszędzie dwujęzyczne: czeskie i polskie. Dziś napisy są tylko czeskie... Gdzieś, na jakiejś bocznej ścianie, ledwie widoczne ślady jakiejś reklamy w polskim języku. Ale górnicy, hutnicy wsiadający i wysiadający z pociągu mówią wszyscy śląską gwarą i wyciągają z kieszeni „Głos Ludu", pismo wychodzące w czeskim Cieszynie w języku polskim...

Ale o ile tu na Śląsku mamy jeszcze jaką taką iluzję przedmonachijskiej Czechosłowacji, o tyle tam, za przełęczą Jabłonkowską, na Słowacji, wrażenie to pryska. Z szerokiego dworca w Żylinie widać w świetle zachodzącego słońca całą panoramę Małej Fatry. Wspaniale rysują się kontury Krywania Fatrzańskiego, Wielkiego Krywania, Chleba a na końcu bielą się skały ostro zarysowanego Rosudźca. Pamiętam, jak pierwszy raz, gdzieś w 1928, ukazał nam się Rosudziec po raz pierwszy w porannym słońcu, gdzieś spod zachodnich kresów Tatr, tam gdzie ostatnie cyple Tatr przechodzą w rozległe, płaskie połoniny Hal Liptowsko-Orawskich. Nęcił nas wtedy swymi białymi skałami, swym ostrym wierzchołkiem zapowiadającym rozległy widok na nieznaną okolicę Orawy i Trenczyńskiego, kraju Janosikowego między Erdúcką, Zazrywą i Terchową, kraju bezkresnych lasów, barwnych strojów ludowych, żywych tradycyj zbójnickich. Raz próbowaliśmy się dostać na Rosudziec, ale lał deszcz i przemoknięci, zmarznięci, musieliśmy spod Rosudźca, z przełęczy Międzyhole, zatrąbić na odwrót. Było to w 1932, a w 1935 znów byłem na Międzyholu; ale znów szczyty były spowite we mgły i znów musieliśmy rezygnować ze „słowackiego Matterhornu", aby w mgle i deszczu iść graniami aż do schroniska pod Chlebem. Aż wreszcie w 1937 wracając z jakiejś dłuższej włóczęgi po górach Słowacji zaczepiliśmy o Małą Fatrę i udało nam się osiągnąć szczyt Rosudźca w bezchmurnej pogodzie, w morzu gór Fatry, Beskidów, Hol Wiaternych, lasów, polan...

A inne wspomnienia? Wejście pod Chleb z doliny turczańskiej w „mleku" z mgły jesienią 1932 r. i nagły widok rozsłaniający się z przełęczy pod Krywaniem... I Stoh we mgle i deszczu 1935 r. Wszystko to stoi mi przed oczyma teraz, z tego żylińskiego dworca anno domini 1946.

Na peronie „vratny" jednostajnym głosem zapowiada to „rychlik" Vrutky — Liptowský Sväty Mikulaš — Poprad — Spiška Nova Ves — Košice, to znów Bohumin — Praha, to Leopodovo — Galanta; nadjeżdżają rzęsiście oświetlone pociągi (pociągi w Czechosłowacji są w nocy oświetlone), błyszczące od czystości, drugie i pierwsze klasy, pullmanny, sleepingi, restauracyjne, kelnerzy z tacami przebiegają korytarzami roznosząc herbatę, wszystko to dla nas, przybyszów z dalekiej północy, stwarza znów jakąś iluzję „jak gdyby nigdy nic". Ale to znów tylko iluzja. Tam za przełęczą jabłonkowską mogliśmy ulegać tej fikcji. Tu ona pryska. Czy dlatego, że kolejarz słowacki ma inny mundur, klapy szeroko wyłożone i denko czapki na wzór niemiecki wyrzucone do góry? Czy dlatego, że emblematem monopolowym jest tu podwójny krzyż słowacki, herb państewka Tisy et consortes? Ale z rozmów moich towarzyszy podróży widzę, że jestem w kraju innych pojęć, innych zainteresowań, innych kompleksów. Na przełęczy jabłonkowskiej jest coś więcej niż granica dwóch krajów, dwóch okręgów administracyjnych czy regionów, jak to było wtedy w r. 1937. Je t to granica dwóch światów; dwóch światów, które zupełnie odrębnie patrzą na ubiegłe 6 lat i na teraźniejszość i które dziś nie mają prawie wspólnego języka.

### NOC

W ciemną noc jadę z Żyliny w dół doliną Wagu, w kraj mi już nieznany, terra incognita. Tu na północy znałem całe pogranicze schodzone w dłuższych łazęgach górskich od Żyliny po Lipiany pod Preszowem, tam na południu znałem pas ziemi koło Nowych Zamków i Parkan, gdzie w latach wojny, gdy teren ten był pod administracją węgierską, byłem czy to internowany w twierdzy Komárom, czy gdzie potem przebywałem w obozie uchodźców cywilnych. Między tymi dwoma rejonami ciągnął się pas zimnej, dla mnie terra incognita, tym niemniej najistotniejszej części Słowacji, jej serce i mózg, Nitra i Trnawa, Batowany i Trenczyn, wszystko prawie, z czym związana jest historia Słowacji od Mateusza Czaka do dramatycznych dni sierpnia 1944 roku (bowiem i oni mieli swój tragiczny sierpień 1944!).

W tę noc ciemną, gdy pociąg zanurzał się w dolinę Wagu, konduktorzy wykrzykiwali nazwy stacyjek, z których każda prawie budziła skojarzenia z przeszłością tej ziemi, każda prawie wywoływała z przeszłości jakieś wspomnienia: tu Beniowskiego, tam Mateusza Czaka, tu znów Rakoczego, to Janosika czy Jana Hollego, każda prawie wiązała się z przeszłością tej ziemi, przeszłością bujną i bohaterską, twardą i mocno zarysowaną jak te ostre kontury górskie na tle ciemnogranatowego nieba nad doliną Wagu. W tę ciemną noc, gdy wsłuchiwałem się w rozmowy współpasażerów, a nawał myśli, wrażeń nie dawał mi zmrużyć oka, starałem się uporządkować to wszystko, z czym się styka taki jak ja podróżnik, który znał Słowację sprzed 1938 roku, a nie był na niej od tego czasu — jeśli nie liczyć nocnego przemarszu przez góry Słowacji z Zakopanego na Węgry w czerwcu 1940 r. i przejazdu repatriacyjnym eszelonem z Rumunii przez wschodnią Słowację (tam zresztą problematyka polityczna jest zupełnie inna) we wrześniu 1945 r.

Między 1938 a 1945 zaszło w stosunkach między Czechami a Słowakami wiele rzeczy, które ten stosunek gruntownie zmieniły, które na nim zaciążyły tak, że myśli Słowaków i Czechów rozeszły się dziś prawie bezpowrotnie. Cała masa urazów, kompleksów, zadrażnień powoduje, że wspólnego języka między nimi dziś nie ma.

Gdzieś z końcem zimy 1939, w deszczowy wieczór warszawski, rozmawialiśmy z pewnym słowackim działaczem kulturalnym o problemie przyszłych losów Słowacji. Było to już po Monachium a przed 14 marca 1939, w okresie, kiedy Słowacja już się usamodzielniła od Czech, ale jeszcze zachowała pewien z nimi związek, jeszcze nie wiedziała, jakie w przyszłości czekają ją losy. W powietrzu już się zbierały groźne chmury przyszłego konfliktu, było to już po wizycie Becka w Berchtesgaden a przed wkroczeniem Niemców do Pragi. I wtedy w tę noc deszczową i mglistą, tak ciężką jak ówczesna atmosfera, odprowadzając się starym warszawskim zwyczajem wzajemnie tam i z powrotem, od mego domu do jego hotelu, tam i z powrotem, usiłowałem dowiedzieć się od mojego interlokutora, jak sobie wyobraża los przyszłej Słowacji wobec burzy, która ma nadejść? Mój rozmówca nie zdawał sobie sprawy z powagi chwili. Reprezentował poglądy Słowaków, którym się zdawało, że Słowacji uda się zachować jakąś jakby neutralność. Rzucił projekt „słowiańskiej Szwajcarii", małego górskiego kraiku przez wszystkich szanowanego i wszystkich szanującego, nikomu nie przeszkadzającego, żyjącego z piękna krajobrazu, kurortów, serów owczych i pamiątek folklorystycznych. Myślał, że taki kraik nikomu nie przeszkadzający i któremu nikt nie miałby interesu szkodzić ostoi się wobec nadchodzącej burzy, tak jak pewni szlacheccy myśliciele polscy z początku XVIII w. sądzili, że słaba Polska „stojąca nierządem" jest tak niegroźna, że nikt jej nie będzie atakował.

Ale dla nas, Polaków, taki pogląd w r. 1939 musiał wydać się naiwny. Wiedzieliśmy, że nadejdzie burza, nie baliśmy się jej, ale byliśmy przekonani, że zmiecie ona na swej drodze wszystko. Ten pogląd, że można w tej zawierusze zachować jakieś neutralne stanowisko i bawić się w komercjalizowanie piękna krajobrazu, wydawał nam się dziecinny.

Tymczasem dziwny splot okoliczności spowodował, że to, co uważaliśmy za naiwność, pozornie sprawdziło się, choćby w pierwszych latach wojny i tu leży zalążek nieporozumień myślowych ciążących obecnie pomiędzy Czechami a Słowakami, czy tak samo dobrze pomiędzy nami a Słowakami. Słowacja nie została zmieciona przez wojnę. Jej udział w wojnie był z początku prawie zupełnie formalny. Parę dywizji posłanych do Polski wróciło po kilkunastu dniach z triumfem i było parę lat spokoju. Nieco więcej wysłano po dwóch latach przeciw Związkowi Radzieckiemu, ale okazały się one potem tak niepewne, że o ile nawet nie przeszły wszystkie na stronę Armii Czerwonej, to na żądanie niemieckie musiano i tak resztę ściągnąć do kraju. Kraj nie odczuwał wcale wojny, która toczyła się gdzieś tam o setki, tysiące kilometrów dalej.

Każdy, kto znał Słowację z tych lat wie, że była to wyspa pozornego spokoju i dobrobytu, prawdziwa Szwajcaria wschodnia. W wolnym handlu był cukier i kawa, nie było żadnych kartek, ani ogonków, ani reglamentacji, ani ograniczeń czy innych kontyngentów, a za to w każdej kawiarni można było dostać białą bułkę z masłem, rzecz niespotykana wtedy w trzecim, czwartym roku wojny ani w sąsiednich Węgrzech, ani w Reichu czy GG. Z produkcji i wywozu drzewa i pewnych surowców kraj doskonale mógł wyżyć, standard życia się podnosił, płace robotnika były niezłe w porównaniu z 1938 r., bezrobocie znikło, dużo ludzi wzbogacało się na

JULIAN PRZYBOŚ

# Odpowiedź dyletantowi

„Wstydliwy głos dyletanta" Pawła Konrada wnosi więcej dobrej woli i chęci zbliżenia się do współczesnego malarstwa, niż nawoływanie tych krytyków, których żadne obrazy współczesne nie bawią i którzy chcieliby, aby dzisiaj malowano tak jak przed laty stu, czy dwustu. To głos tylko na pozór filuterny, a w istocie żarliwy, gorętszy od wielu zrzędów w tej dyskusji: wyraża pragnienie piękna nie ograniczone uprzedzeniem wyrozumowanego malkontenctwa. Paweł Konrad woła o malarstwo tematowe, ale nie wyklucza, przeciwnie, pragnie też malarstwa abstrakcyjnego, nie ma nic przeciw wszelkim izmom, nie straszy go żaden kierunek artystyczny, nie upiera się przy realizmie. (Za to szczególnie trzeba go pochwalić: nie uległ sugestii słów pustych jeszcze — nawet dla propagatorów). Co do tego zgadzam się z nim w zupełności, bo — jak pisałem — jestem za bujnym życiem sztuki, za obfitością różnorodnych kierunków.

Paweł Konrad jest jedynie jednej rzeczy przeciwny: niezrozumialstwu, temu, co nazywa rebusami malarskimi. Jak wynika z jego artykułu, za takie rebusy uważa obrazy nadrealistów. Ale nie może wymienić ani jednego polskiego malarza-nadrealisty, podrwiwa tylko z nadrealizmu na podstawie reprodukcji Salwatora Dali. Nie oglądał widocznie ani jednego nadrealistycznego oryginału. Nie ma czego żałować. Dyletant w Polsce może być spokojny: u nas nie było i nie ma nadrealizmu, nie grozi nam ten anarchiczny bluff, ta przekornie groteskowa fabrykacja brzydoty.

Paweł Konrad przepada za obrazami z tematem, z anegdotą, za tym, co daje mu np kino. Przypuszcza, że interesujący temat ściągnie tłumy na wystawy malarskie, że tłumy te zaczną się potem interesować nie tylko tematem, ale i malarstwem. Radzi malować ruiny Warszawy, Majdanek itd., pragnie więc, aby malarstwo dawało coś jakby kronikę filmową, tylko że malowaną i nieruchomą. Jestem przekonany, że się Konrad myli. Ludzie woleć będą jednak kronikę filmową — i wystawy świecić będą dalej pustkami. Świecić będą pustkami dopóty, dopóki widz nie zacznie szukać czego innego niż tematu. I może właśnie dlatego te „martwe natury" mogą być surową, ale skuteczniejszą szkołą patrzenia na obraz niż jakiś „ułan na wedecie"? I cóż począć, gdy malarzy nie interesuje taka kronika, a interesuje ich właśnie martwa natura, kwiaty, pejzaż, portret, wnętrze? To też niezgorszy temat malarski.

A dlaczego nie malują „kobył historycznych" i kompozycyj figuralnych, które by były nie tylko kroniką filmową, ale i nowymi Tycjanami i Veronese'ami? Próbowałem to wyjaśnić w poprzednich swoich artykułach. Hipoteza moja nie trafiła widocznie Konradowi do przekonania. Poddam więc mu jeszcze jeden prosty pomysł: Tycjan i Veronese umarli dawno, uczniowie ich i innych wielkich mistrzów malarstwa tematowego też wymarli — umarło zainteresowanie dla tego rodzaju malarstwa. Dyletant woła o zmartwychwstanie takiego malarstwa. Życzyłbym mu, by je wskrzesił, gdybym miał pewność, że chodzi mu naprawdę o malarstwo, a nie o ilustracje i kronikę historyczno-współczesną.

Nie godzi się też dyletant, że w patrzeniu na obraz temat może być raczej przeszkodą Lecz ostatnie doświadczenie z nagrodą mas na salonie warszawskim potwierdza moje przypuszczenie. Nagrodzono obraz przedstawiający krowy. Krowy te zwracają istotnie uwagę jako krowy, ale nie jako obraz.

„Ludzi głodnych nie nakarmicie smakami, należy im dać smaczne potrawy". Lecz potrawą w malarstwie jest ta radość, jaką daje obraz, tj. zestrój barw i kształtów — i jeśli tego się nie spożywa, to nie czuje się nie tylko aromatu, ale pozostaje się głodnym, który zadawala się — łupiną.

Paweł Konrad zacytowawszy jedno moje zdanie stawia mi szereg pytań. Zanim odpowiem, przytoczę — dla lepszego zrozumienia — zdanie, które poprzedzało to zdanie zacytowane przez Konrada: „Estetyka nowoczesna bada dzieło jako przedmiot wymierny, obiektywnie istniejący, a nie jako nieokreśloną mgławicę obudzonych przez nie skojarzeń". Dla kogo więc są ważne wrażenia, uczucia i myśli? Dla tych wszystkich, którzy obraz chcą przeżyć jako dzieło sztuki, a nie jako np. pobudkę do plotkowania o modelu. Gdzie się liczą? W przeżyciu estetycznym. Jeśli np. ktoś patrząc na „Jeźdźca" Michałowskiego wzrusza się obudzonym przez ten obraz wspomnieniem własnej przejażdżki na koniu, która zawiodła go do gospody, gdzie ujrzał po raz pierwszy swoją żonę i wypił z nią butelkę piwa — to oczywiście tymi uczuciami i myślami może się delektować, ale jako wynik spotkania z obrazem — one się nie liczą. Co ma z nimi począć? Jeśli są takie właśnie, a nie takie, jakie by powinien wywołać obraz — nic mu innego, jako odbiorcy sztuki, poradzić nie mogę niż to, by doskonalił swój smak estetyczny. Gdzie? W „ogniskach plastycznych". Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków otworzył właśnie takie kursy dla dyletantów, również Związek Muzyków zakłada szkoły umuzykalniające dla szerokiej rzeszy łaknących sztuki. Tam radzę udać się dyletantowi, a nie przymuszać artystów, żeby malowali ruiny Warszawy i Majdanek, skoro jakoś tego nie chcą, czy też im to nie wychodzi. (Myślę, że inni dyletanci niezbyt byliby skłonni oglądać takie obrazy: na ruiny patrzą codziennie i tęsknią za tym, by zniknęły im z oczu, a na ich miejscu stanęły gmachy, o okropnościach obozów też radzi by zapomnieć).

Niepokoją mnie jednak i napełniają obawą ostre słowa pod adresem intelektu, intelektualistów — a pochwała prostactwa, gruboskórności i prymitywnego gustu. Konrad te cechy, których przyczyną było społeczne upośledzenie „ludzi prostych" robotnika i chłopa — zdaje się pochwalać i od uległości dla prymitywnego smaku uzależniać uspołecznienie artystów i sztuki. Jeśli coś takiego przemknęło przez głowę autorowi „głosu dyletanta" (z pojęciem intelektu uporczywie łączy pejoratywne określenia: snobistyczny, samotniczy itp.) — to P. Konrad — może nieświadomie — tai w sobie bardzo szkodliwy i barbarzyński pogląd. Przypomina tego dygnitarza, którego wymieniłem w artykule „Temat malarski" („Odrodzenie", nr 87). Lenin radził zwycięskiemu proletariatowi brać piękno tam gdzie jest — a nie zniżać twórczości artystycznej do poziomu upośledzonego gustu mas, którym dostęp do arcydzieł ukrytych w pałacach był zamknięty. W Związku Radzieckim „proletkult" dawno został potępiony.

Lud wyzwolony z ucisku, przyswoiwszy sobie najwyższy osiągnięty przez dawną sztukę poziom i smak artystyczny, wyda artystów, którzy rozwiną twórczość bujną i nieograniczoną.

A cóż w człowieku cenniejszego niż intelekt?

**Julian Przyboś**

„aryzacji" czy majątkach po Czechach.

Ale nie tylko te materialne korzyści spowodowały, że dziś prosty człowiek błogo wspomina te złote czasy. „Niepodległość" słowacka, nadana jej przez Hitlera, spełniła sen wielu pokoleń słowackich, jeśli chodzi o self-gouvernement. Słowacy zapełnili liczne stare i nowoutworzone urzędy, utworzyli moc nowych instytucji, bawili się w niepodległość, wysyłali i przyjmowali rozmaitych egzotycznych posłów. Była to może zabawa, ale miała ona i swe jasne strony, miała ona i swą stronę serio w postaci licznych, dobrze prosperujących instytucyj kulturalnych, w postaci inwestycyj, szkół, sanatoriów. Trzeba powiedzieć, że Słowacy w wielu dziedzinach zdali dobrze egzamin ze swej rządności i zdolności organizacyjnych. Napawało to ich dumą, która u nich, u małego narodku bez tradycyj państwowych i historycznych, narodku, któremu ze wszystkich stron wmawiano jego niższość kulturalną, przechodziła w jakieś samochwalstwo, dziś nieraz śmieszne.

A pamiętać jeszcze trzeba, że Czechosłowacja przedmonachijska włożyła wprawdzie pewne inwestycje w Słowację, ale zlikwidowała jej przemysł, że starała się o jej poziom kulturalny, ale równocześnie posyłała tam urzędników karnie przeniesionych, jakby na zesłanie, tak jak Francja do kolonii, a dawna Rosja carska do Polski. Nic dziwnego więc, że w wyobrażeniach prostego szarego człowieka te lata „samostatnej" Słowacji to jakieś złote lata dobrobytu i spokoju, lata mlekiem i miodem płynące, kiedy wszystkim wiodło się dobrze, lepiej niż w przedmonachijskiej Czechosłowacji i lepiej niż dziś po wyzwoleniu. Ten prosty człowiek nie rozumie, że dobrze płatny robotnik pracował w przedsiębiorstwie, którego kierownictwo było niemieckie i które pracowało na rzecz niemieckiej machiny wojennej. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że „niepodległość" Słowacji jest to, mówiąc po warszawsku, zwykła „lipa" i kant, że jest to wyłącznie trick reklamowy hitleryzmu, aby wykazać jak wielkodusznie umie wielki führer postępować z tymi, którzy mu zaufają, oddają się w opiekę i nie dają się wygrać siłom żydowsko-angielsko-bolszewickim, że pozorne swobody narodowe okupione są zupełną faktyczną zależnością Bratysławy od Berlina. Prosty człowiek nie widział, kto rządzi w fabryce, jakie więzy łączą przywódców Hlinkowej Gardy z Niemcami. Widział tylko, że robotnik słowacki jest dobrze płacony, że urzędnik, który go załatwia w niższym urzędzie, jest takim samym Słowakiem jak on, że buduje się szosy i uruchamia przemysł zamknięty od 1921 roku, że można dostać w bród jedzenia, za którym tuż obok, w GG czy na Węgrzech, trzeba stać w ogonku. A działo się to wszystko w latach, gdy przez Europę przechodził szał terroru hitlerowskiego. Słowacy nie zdawali sobie z tego sprawy. Niech na całym świecie wojna...

Niedawno mi opowiadano, że do znanego księgarza w Zakopanem w czasie wojny nadeszło od pewnej słowackiej firmy księgarskiej zapytanie, jakie wychodzą polskie pisma literackie? A spotkany niedawno w Tatrach słowacki taternik dziwił się, że w czasie wojny nie wychodziły „Wierchy". Słowacy przeżywający swój złoty sen nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje tuż poza ich granicami, nie mogli sobie wyobrazić, że to wszystko pewnego dnia runie, że cała ta fikcja nie utrzyma się i dziś wspominając tę aurea aetas i porównywując ją z obecną rzeczywistością winią tych, co przyszli po r. 1945, i przynieśli wojnę, zniszczenie, grozę, nędzę, kartki i ogonki za chlebem.

Za fikcję sztucznej prosperity ze sprzedawanego Niemcom drzewa i „aryzowanych" majątków płaci dziś demokracja słowacka. Właśnie gdy byłem na Słowacji, podczas jakiegoś meczu w Bratysławie, tłum zaczął wznosić okrzyki antyczeskie i wiwatować na cześć księdza Tiso. Albowiem ks. Tiso jest dla szarego człowieka na Słowacji ucieleśnieniem tych wspomnień o owych tłustych siedmiu latach, gdy gołąbki same prawie wpadały do gąbki, forsa płynęła do kieszeni, a prezydentowi niepodległej Słowacji wręczał listy uwierzytelniające sam poseł Mandżu-Kuo, Albanii, czy Chorwacji.

Ale nie trzeba myśleć, jakoby ta masa, która demonstruje przeciw Czechom, była przyjazna Niemcom. Niemcy nie zostawili tu też miłego wspomnienia. Tuki ani Macha nikt tu nie broni, uważają ich za zdrajców, renegatów, ludzi zaprzedanych. Ale Tiso to co innego. Uważa się go za tego, który w tych ciężkich czasach przyjął na siebie brzemię odpowiedzialności za losy narodu słowackiego, aby temu narodowi oszczędzić jak najbardziej zniszczeń i ciosów wojennych. A pamiętajmy, że Słowaków jest mało, kraj jest mały, gospodarstwo jest maleńkie, jeden podmuch wiatru wystarczyłby, aby to wszystko zmieść z powierzchni ziemi. To nie Polacy, których można wałkować, tłuc, bić, dziesiątkować i jeszcze nic się im nie zrobi, zawsze głowę podniosą i zawsze będą górą. Jeśli więc Słowacja wyszła jakoś z pogromu tej wojny, jeśli może tak szybko przyjść do siebie, to uważa się, że jest to zasługa rezerw nagromadzonych dzięki przezorności ks. Tiso, który robił, co mógł, aby zmylić czujność Niemców i wyratować dla Słowaków, co można. Dlaczego musiał w tym celu w asyście wyższych rang SS rzucać w listopadzie 1944 r. na rynku bańskobystrzyckim gromy na powstańców słowackich, to, mimo wszystko, moi przygodni towarzysze podróży nie bardzo mogli mi wytłumaczyć...

Jest znów długa noc, taka jak tamta przed siedmiu laty, gdy pierwszy raz słyszałem o słowackiej Szwajcarii; wagon powoli się opróżnia, wyciągam się na ławce, ale nie mogę spać, tak kłębią mi się myśli dokoła rozmów z moimi towarzyszami podróży, dokoła przeczytanych w gazecie słowackiej wiadomości o zajściach na boisku sportowym w Bratysławie, dokoła napisów, które przeczytałem na ścianach w tym miejscu, gdzie na całym świecie, widocznie wskutek odosobnienia, zamknięcia i wynikającej stąd świadomości bezkarności i bezpieczeństwa, zwykło się pisać rozmaite hasła polityczne obok nieparlamentarnych napisów. Gdzieś po północy, na małej stacyjce Galanta, przesiąść się trzeba do wygodnej miejscowej motorówki, która nas wiezie znów do Leopoldowa, gdzie wsiadamy do pociągu idącego z Bratysławy w stronę Parkan.

Zaczyna świtać, krajobraz jest inny, równina z polami kukurydzianymi, wioski zamieszkałe przez Węgrów. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak mała jest ta cała Słowacja, jak mały był odcinek między tym, co znałem na północy, a na południu. Albowiem ledwie na północy, gdzieś przed Nowymi Zamkami, znikł we mgle ostatni rąbek Karpat — wysunięty tutaj klinem ku równinie węgierskiej — ostro zarysowane kontury góry Zobor koło Nitry, a już na południu, na horyzoncie, rysuje się łańcuch gór Gerecse, nad Dunajem, po węgierskiej stronie, naprzeciw okolicy, gdzie dane mi było spędzić cztery lata wojny. Coraz wyraźniej ukazują się poszczególne wierzchołki pasma, widać już olbrzymią kopułę samej Gerecse przypominającą Babią Górę albo Pilsko, na lewo od niej Pisznice, a na prawo Somlyó-hegy, gdzie szukaliśmy w skałach wapiennych groty przypominającej trochę Okna Zbójnickie w dolinie Kościeliskiej. Wreszcie zupełnie na lewo ostro wysuwa się śliczny skalny wierzchołek Öreg-Kö nad Bajodem. Panorama, na którą patrzyłem z okna naszej „kasarni" przez 4 lata.

### PO DWÓCH LATACH

Na malutkiej cichej stacyjce Köböykut wysiadam sam jeden z pociągu i kieruję się na południe ku widnym z dala górom, u stóp których leży miejscowość, gdzie przebyłem 4 lata wojny i która stanowi obecnie cel mojej wędrówki. Dziwne to uczucie znaleźć się po półtora roku znów w okolicy, w której spędziło się cztery lata tak brzemienne we wrażenia, cztery lata wojny i zmagań, których echa odbijały się i tu, w tej węgierskiej wioseczce. Dziwne to było wrażenie, tym bardziej, że od chwili kiedy stąd odszedłem — wtedy w ten grudniowy dzień 1944 roku — tyle zaszło wydarzeń na świecie i tyle wrażeń przewaliło się przeze mnie. Boże Narodzenie na oblężonym i ostrzeliwanym przedmieściu Budapesztu, front pod Budapesztem, przedostanie się na stronę Armii Czerwonej, podróż przez zniszczony wojną kraj, zimą, w jakiejś rozbitej lorze do Rumunii, potem malownicza podróż przez Siedmiogród i wschodnią Słowację do Polski jesienią 1945, powrót w Polsce do normalnego życia, normalnych zajęć po pięciu latach przymusowych wakacyj... Tyle zmian...

Okolica też przeszła swoje. Po naszym odejściu przeszła tędy wojna. Wszędzie rozbite czołgi, porzucone działa, pociski. Ale wszystko już wraca do normy, pomiędzy rozbitymi czołgami ludzie okopują kukurydzę, pośród rozrzuconych jaszczyków pracują przy winoroślach. Zaczynałem poznawać okolicę: tu zarosła winnica Gálów, gdzie pracowaliśmy podczas okupacji niemieckiej wiosną 1944, tam strumyczek, ulubione miejsce spacerów Polaków, przypominające im jakby podobne łąki w Polsce, tam jakieś znajome domki na winnicach.

Z jakim uczuciem przywitam znajome okolice, jak powitam znajomych ludzi? Pamiętam, w ten grudniowy poranek 1944, gdy oddział wojska i żandarmerii otoczył obóz polski, aby go „przenieść" przed „niebezpieczeństwem bolszewickim" do Hegyeshalom (stacja graniczna austriacko-węgierska), pod czym kryło się po prostu wydanie nas Niemcom, odzywało się spośród przypatrującej się wyjeżdżającym Polakom miejscowej ludności dużo głosów szyderczych. Jeszcze ufni byli Węgrzy w siłę Niemiec, w cudowną broń, wszechmoc Hitlera i Szalasiego. Chciałem teraz stanąć oko w oko z tymi, co nas wówczas żegnali ironicznymi spojrzeniami i uwagami i spytać się „No — gdzie wasza broń cudowna? Gdzie wasz Szalasi? Gdzie wiara w zwycięstwo?" Ale po przybyciu na miejsce cała animozja prysła jak bańka mydlana.

Cała okolica, acz zamieszkała przez Węgrów, znalazła się obecnie znów — jak przed 1938 r. — w Czechosłowacji. Nad ludnością węgierską zawisło brzemię niepewności, groźba wysiedlenia. Nowa republika nie chce żadnych już więcej kłopotów narodowościowych, nie chce mniejszości narodowych, irredent wewnętrznych, żadnych „mindent vissza, ani „nem, nem, soha", ani bojówek spod znaku Rongyos-Gardy, dywersyj i tym podobnych komplikacyj. Chce być państwem narodowym Czechów i Słowaków. Zrażona jest do mniejszości niesłowiańskich. Nie może już im zaufać, z chwilą kiedy wedle niej mniejszości te nadużyły zaufania, którym ich darzyła tak szczodrze pierwsza republika. Albowiem — jak to się niedawno jeden publicysta węgierski wyraził — pierwsza republika była dla Węgrów lepszą ojczyzną niż ich własny kraj. Ale to się skończyło.

I Węgrzy z mojej wsi, ci Węgrzy tak zawsze butni i pewni siebie w tamte dni, gdy ich armie przekraczały Don, ba, jeszcze pewni siebie w lecie 1944, gdy niezłamana jeszcze była wiara w nową cudowną broń niemiecką, która nagle wszystko odwróci, wszystko odmieni i znów odsunie grozę wojny gdzieś na Kaukaz, ci Węgrzy mają teraz naprawdę nos spuszczony na kwintę. Atmosfera jest ciężka i duszna, przesiąknięta ciągłymi pogłoskami i plotkami to o nowych wykazach w gminie, to o nowych projektach wysiedleńczych, to o innych nowych ciosach spadających na ludność węgierską. Atmosfera, którą tak dobrze znamy... Ludność węgierska w Czechosłowacji nie korzysta obecnie z żadnych praw, nie ma szkół węgierskich, ani instytucyj, ani żadnych praw językowych, Węgier nie ma praw wyborczych, ani prawa do pracy. Rząd czechosłowacki chce całą ludność węgierską wymienić za ludność słowacką znajdującą się w rozproszeniu na Węgrzech, od okolicy Budapesztu poprzez komitaty centralne aż do licznej ludności słowackiej w okolicach Bekescaby na granicy rumuńskiej.

Jest piękny czerwcowy dzień, tak jak przed dwoma laty i idąc szeroką, pełną kurzu główną ulicą wsi mam chwilami złudzenie, że znów wróciły tamte lata. Oto wracają z motykami i kopaczkami ludzie z winnic czy pól kukurydzianych, tak samo jak myśmy zawsze wracali, szli po wypłatę, a potem do domu, do „kasarni". Pobiegłem nad Dunaj obejrzeć nasze dawne miejsce zamieszkania, ale quantum mutatus ab illo! Tętniący życiem gmach stoi dziś opuszczony, wyrabowany, na pół zrujnowany, ze śladami kul i pocisków. I tylko stara „kecske-nemi" (babcia kozia), stara biedaczka ze swymi nieśmiertelnymi kozami, dawna sąsiadka i zauszniczka Polaków z czasów ich pobytu w koszarach, stanowi jedyny łącznik między tamtymi czasami, gdy „kasarnia" rozbrzmiewała mową polską, a teraźniejszością.

Ale wspomnienia ciągną się wszędzie: oto obok kasarni nad Dunajem karczemka Szenciego, gdzie wystawialiśmy „Śnieg" Przybyszewskiego, i gdzie zespół cygański Kovácsa grał skoczne czardasze i rzewne „nóty". Dziś zespół Kovácsa znów gra, ale już bez ojca rodu, który zamęczony przez Niemców zmarł gdzieś z wyczerpania podczas robót ziemnych pod Komárom. Grają tylko synowie, pary kręcą się w skocznym czardaszu, otacza mnie pełno znajomych twarzy, pytają o Polskę, o innych Polaków, którzy tu w obozie przebywali, ale przede wszystkim o to, co będzie z nimi, Węgrami słowackimi.

Zmora niepewności unosi się i tu, na tej zabawie ludowej, smętkiem zasnuwa oblicza. I te wszystkie oczy zakłopotane, pełne niepokoju, te wszystkie oczy czy to starych gospodarzy Hollósiego czy Belabasa, czy młodych Babich, Pinków, Borosów, wszystkie te oczy wpatrują się w moje oczy, próbują w nich doszukać się jakiegoś dla siebie wyrazu nadziei, jakiegoś pocieszenia, czy choćby jakiegoś wytłumaczenia. Albowiem ci ludzie nie rozumieją zgoła nic. Nie rozumieją, jak to może tak być: oni tu opiekowali się Polakami, pomagali Żydom, gdy ich łowiło gestapo, aż do okupacji niemieckiej Węgry były państwem, gdzie była swoboda prasy, gdzie działała partia socjal-demokratyczna, gdzie była atmosfera jakby neutralnego państwa, gdzie znajdowali schronienie zbiegli z niemieckich obozów jenieckich Rosjanie i Francuzi, Jugosłowianie czy Holendrzy, a tuż obok była Słowacja, zglajszaltowana totalnie, z czarnymi mundurami Hlinkowej Gardy na wzór SS, z ustawami norymberskimi i deportacjami Żydów, Słowacja oddająca cały swój wojenny wysiłek Niemcom — i teraz te Węgry uważane są za pobitych satelitów „osi", a ta Słowacja uważana jest za część zwycięskich sprzymierzonych, im, Węgrom, dyktująca warunki.

Nikt tego nie może tu zrozumieć. Argumenty, że przecież Słowacja przez powstanie bańskobystrzyckie w sierpniu 1944 włączyła się do narodów alianckich i dziś brana jest tylko pod uwagę jako część sojuszniczej Czechosłowacji, nie trafiają do przekonania, bo według nich nie może liczyć się to, co się stało na pięć przed dwunastą. Na argument, że Węgry odpowiadają za wydanie Niemcom do obozów śmierci olbrzymiej masy swego żydostwa od marca do grudnia 1944 odpowiadają, że to się stało za Sztojaya i Szalasiego na skutek gwałtu niemieckiego, podczas gdy Słowacja swych Żydów wydała sama z własnej woli... Podają mi rozmaite cyfry dotyczące zasług węgierskich, jednostek węgierskich, które przeszły jeszcze jesienią 1944 na stronę Armii Czerwonej... Z tymi chłopami trudno jest dyskutować. Nie rozumieją oni nic z tego, co się wokół dzieje, nie rozumieją, że narody muszą płacić za błędy swych przywódców, że za zbrodnie faszyzmu węgierskiego i to nie tylko za ostatnie miesiące rządów Sztojaya czy Szalasiego, ale i za poprzednie lata huku rewizjonistycznego w Europie musi obecnie płacić lud węgierski.

### KLAPKA I SZALASI

W drodze powrotnej jadę przez Komárom. Znów moc wspomnień i skojarzeń: tutaj przecież była słynna twierdza, postrach wszystkich internowanych wojskowych polskich na Węgrzech, służąca za obóz karny, do którego pensjonariuszy i ja się zaliczałem gdzieś z wiosną 1941 roku. Tą aleją szliśmy zawsze pod eskortą „widelców" do pracy przy rozbijaniu kamieni koło drugiego fortu Monostor, i z jezdni, po której w oberwanych, roboczych strzępach mundurów nas prowadzono, rzucaliśmy tylko ukradkiem zazdrosne spojrzenia na chodnik, gdzie w cieniu kasztanów przechadzały się parki, gdzie spacerowali ludzie w o l n i, którzy szli tam gdzie chcieli, a wieczorem wracali do widocznych przez otwarte okna mieszkań, siadali do przykrytych obrusem stołów, a potem kładli się spać do pościelonych łóżek. A obok dworzec, skąd w grudniu 1944 „wyrwałem" w zimową noc z transportu wywożonego do Niemiec. A tam znów plac, na którym stał wtedy pomnik generała Klapki,

Barbara Zdanowska — Żniwiarka

bohaterskiego obrońcy Komárom przeciw Austriakom z 1849. Dziś pomnika nie ma, jak nie ma pomnika Jokaja. Oba pomniki przetrwały pierwszą republikę, zniosła je trzecia. Demokrata Klapka, obrońca Komárom przeciw Niemcom i autor śmiałych projektów federacji środkowo-europejskiej przeciw niebezpieczeństwu ze strony germanizmu i reakcji i Jokái, jeden z największych pisarzy Europy, odpokutowali za zbrodnie faszyzmu węgierskiego.

Właśnie cios, który spotkał pomnik Klapki w Komárom jest memento dziwnie bolesnym. Myślę o tym znów w pociągu, który mnie wiezie do granicy polskiej. Znów jest noc i znów kładę się na ławce i znów nawał myśli nie pozwala mi zasnąć, znów męczą mnie te wszystkie kolejne wizje, które teraz wracają: i górnicy zaolziańscy czytający „Głos Ludu" na stacjach bez polskich napisów, i napisy „at žije Tiso — von z židmi" i stroskane spojrzenia moich znajomych znad Dunaju wpatrujących się w moje oczy w poszukiwaniu jakiejś iskierki nadziei i puste miejsce po pomniku Klapki w Komárom. Czy na to złożona była cała hekatomba wojenna, na to poszły ofiary milionów ludzi zamęczonych w hitlerowskich kaźniach?

Ten Klapka, którego pomnik zburzono w Komárom, sam zresztą Czech z pochodzenia, demokrata i wolnościowiec, potem na emigracji współpracownik i Garibaldiego i Mazziniego i wszystkich wielkich demokratów XIX wieku, był też autorem jednego z planów nowego zorganizowania współżycia narodów w środkowej Europie. Planowana przez niego federacja zdolna by się była przeciwstawić nawale niemieckiej, miała też zabezpieczyć ludy środkowo-europejskie przed imperializmem ówczesnej reakcji. Ten plan nie był niczym nowym i aczkolwiek Klapka nie zdołał go zrealizować, to tym niemniej wyrastał on co pewien czas w rozmaitych pomysłach rozmaitych polityków europejskich. O podobnej federacji myślał już Aleksander I i Czartoryski; potem sam Czartoryski na emigracji precyzował ten plan, w którym widział on już ochronę nie tylko przed imperializmem austriackim czy tureckim, ale i przed imperialistycznymi zapędami caryzmu. Potem gorąco propagował podobny plan z jednej strony Kossuth, z drugiej serbski minister Garaszamin i wreszcie znany demokrata i radykał rumuński Balcescu. Wykoszlawiony przez monarchię austro-węgierską, która zdyskontować chciała ideę federacji środkowo-europejskiej na rzecz austro-niemieckiego imperializmu, plan ten tkwił znów w pewnych koncepcjach monarchistycznych habsburskich spod znaku arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Ale w swej prawdziwej, demokratycznej postaci odżył dopiero po pierwszej wojnie w planach znanego węgierskiego marksisty Oskara Jásziego (dziś profesora w Stanach Zjednoczonych) i w szeregu koncepcyj czechosłowackich, którym nieobcy był i sam Masaryk.

Im bardziej zaogniają się i komplikują stosunki na owym tak zmieszanym terenie, jakim jest Europa środkowa i południowo-wschodnia, tym bardziej myśl wraca ku tamtym planom. Właśnie czasy współczesne, mimo roznamiętnienia politycznego, będącego spadkiem hitleryzmu, ukazują nam olbrzymie możliwości zgodnej współpracy narodów w ramach takiego czy innego związku. Związek Radziecki, Szwajcaria, nowa Federacyjna Jugosławia są tego najwymowniejszymi przykładami. Niewątpliwie w tym kierunku prędzej czy później zdążać musi Europa środkowa.

**Jan Reychman**

*Ostatnie Sensacyjne Nowości Wydawnicze!*

STEFAN OTWINOWSKI
**MIEJSCE WŚRÓD LUDZI**
Str. 130 Zł. 130.–

KRYSTYNA FUZAKOWSKA
**CZAS NIELUDZKI**
Str. 130 Zł. 130.–

Do nabycia we wszystkich księgarniach
„OFICYNA WYDAWNICZA"
Katowice, Młyńska 2
Tel. 334-95 i 360-37
Konto w PKO III-4949
272

JANINA PREGERÓWNA

# Upadek Paryża

Zamach Hitlera na Europę postawił przed wszystkimi to samo zagadnienie: jak do tego doszło? Stąd powieść polityczna, satyryczna, „katastroficzna" czy pamflet — jest stadium, przez które musi przejść literatura współczesna, by zamknąć rachunki z epoką i przejść do nowej. Psychologia załamania Europy nęka pisarzy wszystkich krajów dotkniętych tą klęską. Stąd podobieństwo problematyki i gatunku literackiego — u nas i za granicą.

Erenburg, „patriota paryski", pisze pamflet na Francję*) w okresie między wojną domową w Hiszpanii a zajęciem Paryża przez Niemców. Ujęcie sprawy jest bardzo ostre i tytuł określa je z góry: upadek Paryża. Upadek Francji uważa Erenburg za konieczny i postanowiony o lata wcześniej, nim Hitler kopnął pień, który był tylko próchnem. We Francji w tych latach widzi zgniliznę i upadek, aferę i zdradę, wszędzie — prócz ruchu komunistycznego. Książka jest obrazem posuwającego się rozkładu wewnętrznego, który z koniecznością przeznaczenia prowadzi do upadku zewnętrznego. Przedstawia w niej dwa obozy walczące: jeden, to stara i przegniła Francja — drugi, to nowe pokolenie, rodzące się do walki i rokujące przyszłość odrodzonego narodu: młody ruch komunistyczny. Do pierwszego obozu należą wszyscy krętacze i „mężowie stanu", aferzyści i działacze polityczni, którzy przed rokiem 1939 kierowali polityką francuską — począwszy od młodych faszystów na socjalistach skończywszy. Szczególnie ostra jest satyra na socjalizm i jego parlamentarnych przedstawicieli — najdobitniejszym przykładem może być Viard.

Przedajność, sybarytyzm, obłuda i oszustwo — w połączeniu z wykorzystywaniem dawnych zasług i zdradą dawnych ideałów — to obraz miedzywojennego socjalizmu francuskiego w pamflecie Erenburga. — Reakcja, faszyści — to znów agenci niemieccy mniej lub więcej świadomi (Grandel, Mejeu, Breteuil). Wojsko, dyplomacja i polityka w tej Sodomie — to zdrajcy. „Jedyny sprawiedliwy" — jest oszukanym. — Przedstawia nam więc Erenburg „jedynego sprawiedliwego" wśród socjalistów — inż. Piotra Dubois, ale i ten zostaje haniebnie oszukany, a sens jego życia spaczony. „Jedyny sprawiedliwy" wśród konserwatystów, potentat finansowy Dessère, człowiek mądry i ludzki, żywiący utopijny ideał zachowania mieszczańskiej, pełnej uroku Francji, takiej jaka jest — zostaje również oszukany, tym bardziej oszukany, że wydawało mu się, że nie jest narzędziem tylko, że sam prowadzi grę. Reszta, to typowe przykłady deprawacji we francuskim przedwojennym życiu publicznym. Sprzedajny dziennikarz, sprzedajny minister. Druga strona to ci, co nie mogą się pogodzić z owym światem. Są to wykolejeni, którzy nie trafili na właściwą drogę: aktorka Joanna, malarz Andrzej, pisarz i alfons Lucjan Tessat. Są to również ci, którzy weszli na swoją prostą drogę uczciwej walki o jasno sformułowane ideały (program minimalny) — komuniści Michaud, Legreux, Denise Tessat.

Wątki akcji politycznej i erotycznej wspólnie dają obraz upadku kultury całej Francji ówczesnej — i prób ocalenia jakichś wartości — w przededniu długiej nocy hitlerowskiej nad Europą.

Aktorka Joanna — przez swoją rolę przyciągania wszelkich tęsknot do piękna i miłości, przez dążenie do uczciwości i prostoty przypominająca nieco Irenę z „Sagi Forsyte'ów" — kocha malarza Andrzeja. Oboje szukają jakiegoś prostego i uczciwego sensu życia w świecie, który jest oszustwem. Zdają sobie sprawę, że są również ludźmi niedopełnionymi, nie znającymi swojego miejsca w historii. Spotykają się właściwie tylko raz i rozchodzą, gnani tym swoim przekleństwem bezkierunkowości, które każe im zmarnować życie. „Jak puchy dmuchawca" — mówią o sobie. Podobna niezdolność do szczęścia, wynikająca z całego układu kultury, w którym żyją — cechuje parę: Joanna — Dessère. Równie przekleństwo bezkierunkowości określa kolejność pomyłek Lucjana Tessat, trzeciego partnera Joanny (chronologicznie pierwszego, o co mniejsza).

Prosty i jasny kierunek w tym świecie oszustwa zdobywają tylko ludzie ze sfer obcych przerafinowaniu pseudokultury; ludzie samouctwem zdobywający prawdziwą, nową kulturę, nierozdzielną z etyką — tacy, jak nauczycielka Agnieszka, córka robotnika, mechanik Michaud, robotnik Legreux. Oni też tylko zdolni są przyciągnąć wartościowe elementy z innych klas — np. inżyniera Dubois, studentkę Denise.

Tak przedstawiają się losy indywidualne postaci Erenburga. Nałożone są na akcję wyraźnie polityczną: jest nią najpierw walka o sprawę pomocy czerwonej Hiszpanii, następnie walka o nierozbrojenie moralne Francji wobec ideologii faszyzmu i zbliżającej się agresji hitlerowskiej. Najwięcej miejsca poświęca Erenburg zobrazowaniu rozgrywek około Frontu Ludowego, który przedstawia jako w zupełności podminowany przez perfidię i zdradę. Postacią czołową i uosobieniem szachrajstwa jest tutaj adwokat, poseł i minister Paweł Tessat. Za sprawą jego i jego mocodawców przeprowadza się nieinterwencję w Hiszpanii i podrywa ducha obrony własnego kraju. Ustępstwa przed Hitlerem, cała ta szkoła tchórzostwa przygotowuje kompletne rozbrojenie moralne. W chwili wybuchu wojny korpus oficerski jest przeciwny walce z Niemcami, wojsko nieuzbrojone i zdemoralizowane — pamiętamy to z historii. Obraz kampanii 1940 r., przedstawiony przez Erenburga, jest wyłącznie obrazem haniebnej zdrady. Jedynymi czynnikami zapowiadającymi opór są te same komunistyczne kadry nowej Francji, które walczyły w obronie czerwonej Hiszpanii, a potem, zwyciężone na czas pewien podstępem i represjami — odżywają na nowo we Francji podziemnej czasów okupacji.

Ilia Erenburg

W powieści tej Francja, jak wskazuje to sam tytuł, zostaje kompletnie i z góry potępiona. Francja i upadek — to synonimy. Satyra na pewne ugrupowania polityczne (socjaliści) wydaje się zbyt ostra, koncepcja absolutnej schyłkowości (mimo grupy komunistycznej) zbyt przesadna. To już nie upadek — ale jawna i jednozgodna sprzedaż — sprzedaż, po której właściwie nie byłoby już czego ratować. Jeśli obraz zupełnego paraliżu moralnego kraju może tłumaczyć klęskę — to nie tłumaczy on jednak oporu i walki. Stąd interpretacja historii, podana przez Erenburga, budzi zastrzeżenia. Zbyt nieproporcjonalna jest choćby ilość miejsca udzielonego obu obozom i zbyt nieproporcjonalne ugrupowanie ludzi w tych obozach. To, czemu Erenburg właściwie poświęca książkę — to obraz Francji zdeprawowanej. Obok tej przerażającej całości stosunkowo nieznaczną już rolę w powieści odgrywa grupa ideowców — komunistów. Takie byłyby zastrzeżenia co do samej koncepcji.

Jeśli jednak idzie o realizację tej koncepcji, trzeba powiedzieć po prostu, że jest to piękna powieść. Erenburg z powołania jest malarzem schyłku — zna go przecie z doświadczenia wewnętrznego własnej przeszłości. Charakterystyczna jest pod tym względem ewolucja kariery pisarza. Dekadent, później „nawrócony", dziś jest wierzącym komunistą. Wiele jest w tej książce pięknych i przekonywających dla jego wiary momentów. Np. ze wzruszeniem prawdziwego liryzmu (Erenburg jest w ogóle lirykiem, proza jego jest daleka od jakiegoś nowatorstwa) pisze o polityce. Oto obraz zebrania przedwyborczego: „W szkole było pełno ludzi, którzy nie figurowali w spisie wyborców; kobiety, wyrostki; było to jedno z tysiąca zebrań tej niesłychanej wiosny, kiedy Paryż pieszczotliwie i namiętnie powtarzał słowa: Front Ludowy. W sali było gorąco, zdejmowano marynarki, siedziano w czapkach, palono; Denise spoglądała na twarze: ile w nich trosk, bólu i nędzy!" — Podobnych miejsc jest wiele: ilekroć wspomni o Legreux, Michaudzie i Denise, Piotrze i Agnieszce, o ich walce i miłości — pisarz jest z nimi, szczery i wierzący. Czujemy ten sam nurt liryzmu społecznego, wielkiej nieobojętności dla sprawy ludzkiej, który nas „bierze" u Prusa i Żeromskiego. Czytając wiemy, że tu nie napotkamy sztuczności, że nastąpiło tutaj przyswojenie sercem pewnych rzeczy prostych i dostępnych i tak bardzo konkretnych, choć je zwą — ideałami. Stanowi to — cokolwiek byśmy powiedzieli o stosunku prawdy tej powieści do prawdy historycznej — wielką, niezaprzeczoną wartość książki.

A jednak — coś niecoś zostało z dawnych doświadczeń. Wprawdzie dziś już nie autor powątpiewa o człowieku aż do rozpaczy i kpiny — ale jego bohaterowie-schyłkowcy. Ten świat opisuje z predylekcją i znawstwem duszy. Właśnie upadek jest dla niego najodpowiedniejszym tematem. Nie dziw też, że dzięki tej jego twórczej konstrukcji właśnie atmosfera upadku przeważa w ideologii powieści nad czym innym. Z łatwością zauważymy, że miejsce jego powieści jest w grupie „katastrofistów" czy innych epigonów dekadentyzmu — a nie wśród pisarzy typu Al. Tołstoja, Pilniaka, Szołochowa. Erenburg jest doskonałym „kompozytorem" upadku, dezorganizacji, bezwartościowości. Tworzy z nich symfonię o prawdziwie lirycznym charakterze. Świetne szczególnie są jego portrety wykolejeńców: np. Lucjan Tessat. A należą do nich także w dużej mierze i jego ulubione postaci: fabrykant Dessère, aktorka Joanna. Oto jak charakteryzuje ona swój typ ludzi, typ intelektualistów i artystów współczesnych — w porównaniu do działaczy ruchu rewolucyjnego, skądinąd tzw. „prostaków": „U nich wszystko jest proste i głębokie. Czuję korzenie. A my przyzwyczailiśmy się do czegoś innego. Do innych ludzi: może mają wiele smaku, ale są tak małej wagi, że ich można zdmuchnąć".

Subtelni i szukający — są to ludzie bez drogi. A jeśli znajdują jakąś drogę, na której rehabilitują swoją godność ludzką skompromitowaną przez udział w takim społeczeństwie — jest nią jedynie śmierć. Rozstanie i śmierć stanowią motywy kompozycyjne, które kształtują linie akcji. Każda prawie para się rozłącza i znajduje swoją osobną, samotną śmierć na jakimś odcinku rozpaczliwie nierównoległym z losem najbliższego człowieka. Większość bohaterów ginie. — Podkreślone są specjalnie nieracjonalne dla pojęcia ludzkiego okoliczności ich śmierci.

Jeśli jednak mamy słusznie ocenić książkę, musimy, mimo tak charakterystycznego wyrozumienia pisarza dla schyłkowości, wziąć także pod uwagę serdeczny poryw dla sprawy społecznej, który żyje w autorze obok tamtych nawyków i w tak wielu miejscach gorącym rumieńcem idei zabarwia powieść. O ruchu rewolucyjnym gdzieś tak powiada Erenburg: „To tak jak ten wieczór, jak to powietrze... zdaje się, że ze wszystkich słów najodpowiedniejsze, to chyba nadzieja. Wszystko poprzestawiać, zmienić". — Dużo świeżości, siły i wiary zawierają te słowa, pisane przecie — jak głosi nota na końcu książki — w latach 1940—41...

Powieść Erenburga nie ma może w sobie dla czytelnika polskiego tej specjalnie rosyjskiej egzotyki, jaką znajduje u Dostojewskiego, Szołochowa czy innych autorów: mówi o problemach zachodnich, bardzo podobnych do naszych własnych, tak często teraz roztrząsanych. Czyni to również w sposób znany czytelnikowi z tradycji własnego piśmiennictwa. Motywy, z którymi się spotykamy, jakże są znane z autopsji: np. tragizm bezcelowej ucieczki ze stolicy, pod obstrzałem nieprzyjacielskim, i — beznadziejnych powrotów.

Szczególny urok dla czytelnika mają obrazki wielkiego miasta, którego poetą jest Erenburg. Paryż, pełen gwaru, ruchu, reklam, zakochanych... „Wyszli. Dwudniowy deszcz i wiatr zmieniły wygląd miasta: zewsząd wychylała się wiosna. Od razu nabrzmiały pączki na kasztanach, inaczej odbijał niebieskawy asfalt; zimowe palta ustąpiły miejsca jasnym makintoszom, ludzie przenieśli się z głębi sal kawiarnianych na werandy, zjawili się wędrowni muzykanci, a chłopcy sprzedawali zielone, nierozkwitłe jeszcze konwalie. Od strony bulwaru Saint-Michel słychać było wrzawę: tam wzdychała młodzież, wyznawała miłość, piła kawę lub syropy i drżała przed zbliżającymi się egzaminami".

Książka Ilii Erenburga, stojąca na pograniczu pamfletu, powieści i wyznania, którego sens nie zawsze jest pisarzowi świadomy, zasługuje na przeczytanie. To nie jest książka letnia. Jej niesprawiedliwości i prawdy ukute są w walce i noszą jej znamiona. Bo upadek Paryża nie ze wszystkim się skończył.

**Janina Pregerówna**

*) **Ilia Erenburg.** Upadek Paryża. Tłumaczył **Paweł Hertz.** Łódź, „Książka", 1946; str. 477 i 3 nl.

GŁÓWNA KOMISJA BADANIA ZBRODNI NIEMIECKICH W POLSCE

**ZBURZENIE WARSZAWY**

Zeznania generałów niemieckich przed prokuratorem Rzeczypospolitej, Jerzym Sawickim
i
Żądać we wszystkich księgarniach
274

**Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"**
Sierpień — wrzesień — 1946

POEZJE
WŁ. BRONIEWSKI
BAGNET NA BROŃ
35.— zł.
DRZEWO ROZPACZAJĄCE
55.— zł.
HOŁUJ
WIERSZE Z OBOZU
Wydanie II
TIMOFIEJEW
WYSOKI PŁOMIEŃ
160.— zł.
L. SZENWALD
UTWORY POETYCKIE
200.— zł.
„KSIĄŻKA"
265

*Nowość! Nowość!*

PIOTR KROPOTKIN
**POMOC WZAJEMNA JAKO CZYNNIK ROZWOJU**
Stron 240
Cena 200.— zł.

Treść książki wyjaśnia podstawy socjologiczne ruchu spółdzielczego

NAKŁADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „SŁOWO"
I „SPÓŁDZIELCZEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO"
SKŁAD GŁÓWNY
ODDZIAŁ KSIĘGARSKI „SPOŁEM"
Łódź, Piotrkowska 5
Żądać we wszystkich księgarniach
273

*Szkoła krytyków*

## O NAZWIE SZKOŁY I ZASTĘPCZEJ DYSKUSJI

*Pytał mnie Kazimierz Wyka, na jakim stopniu jest szkoła krytyków: uniwersytetu, uniwersytetu ludowego, czy szkoły powszechnej. I czy mam pozwolenie z kuratorium?*

*Jest podobnego stopnia, co np. „Szkoła żon" i „Szkoła mężów" Moliera, czy „Szkoła kobiet" Gide'a. To znaczy, że do takiej szkoły żon jeszcze nikt własnej żony nie posyłał, ażeby się nauczyła małżeńskiego fachu, bo nie po to ona istnieje. Tak i w szkole krytyków nie kształci się przyszłych adeptów nawet na stopniu elementarnym. Niestety, literatura to wieczne samouctwo, nieuchronny autodydaktyzm. Na własnej, na cudzej skórze. Uśmiechnijcie się, kiedy wam mówią, że Żeromski to typowy samouk, ponieważ lubi się popisywać stale całą swoją erudycją. Typowym samoukiem jest każdy prawdziwy pisarz.*

*A „Szkołę żon" Moliera czytać warto. Jak w ogóle klasyków. Chociażby ten ustęp:*

*Posłuszeństwo, jakie okazują radzi*
*Żołnierz swemu wodzowi, co go w bój prowadzi,*
*Pachołek panu, ojcu synaczek pokorny,*
*Przełożonemu swemu braciszek klasztorny,*
*Niczym jest jeszcze wobec owej uległości,*
*Cichego posłuszeństwa, nieśmiałej miłości,*
*I szacunku, co serce małżonki przenika*
*Dla swego męża, pana, władcy i zwierzchnika.*

*Tak Arnolf uwodzi Anusię. Bywają pisarze, co tak uwodzą krytyków. Przypominam, że Anusia wolała wyjść za Horacego, bo nie głosił takich cnót.*

*A teraz o innych sprawach. Pewien znajomy malarz powiedział mi onegdaj:*

*— Narzekasz na brak krytyków, będąc literatem. A jakim tonem pisałbyś dopiero będąc malarzem?*

*— Przecież u was nie jest źle. Wasza dyskusja o malarstwie, realizmie, perspektywie piechura, ptaka i na przyszłość jest jedynym, co się ostatnio działo w naszej krytyce.*

*— Nie spostrzegłeś się dotąd — uśmiechnął się przyjaciel-malarz — że to jest dyskusja zastępcza? W zastępstwie malarzy dyskutują historycy sztuki, poeci, krytycy, a dopiero na samym końcu Pronaszko i Teisseyre.*

*Zamilkłem. Rzeczywiście, ta dobiegająca końca dyskusja jest dosyć zastępcza. Dobrze jednak, że w ogóle się odbyła. Niewątpliwa w tym zasługa T. Dobrowolskiego. A skoro dobiega końca, przypomnijmy pewne istotne płaszczyzny toczącego się sporu. Niech nie będzie Piłatowym gestem zdanie, że obydwie strony mają słuszność — trudną do pogodzenia. I Dobrowolski, kiedy woła o zbliżenie malarstwa do dzisiejszego odbiorcy, jako formułę zbliżenia podając realizm, i Przyboś, kiedy namiętnie oponuje, że nie tędy droga. Te dwie słuszności nie należą do rzędu wykluczających się w sposób absolutny, lecz do rzędu ujawniających dwa porządki sztuki.*

*O cóż chodziło Dobrowolskiemu i Kottowi? O coś, co by można nazwać ludzką dostępnością sztuki. Nie jest dobrze ze sztuką, która traci tę dostępność, która wartości swoje przekazuje zbyt nielicznym i w sposób zbyt powikłany. Ludzka, humanistyczna dostępność danej sztuki jest nieodzownym współczynnikiem jej wielkości. Przez dostępność swoją mówi o epoce, czy była ona godna jasnego spojrzenia na siebie, czy wydała zdolnych do tego spojrzenia. Ale —*

*Ale oprócz ludzkiej dostępności istnieje w sztuce jej wewnętrzne sumienie. Nie ma regresji, nie ma rozpoczynania od etapów już zdobytych. Iść można dalej tylko od najwyższego już osiągniętego punktu rozwoju. Tych kilka kroków, które w chwilach przełomu czyni się wstecz, jest tylko dla rozpędu, nie dla przeniesienia żywcem ziemi, na której cofając się stanęliśmy. Tak cofali się romantycy do średniowiecza, klasycy do antyku: tylko dla rozpędu. Ale kroczy się od najwyższego zdobytego miejsca. Nie będzie ono na pewno mieścić się w realizmie dawnego malarstwa.*

*Jak pogodzić ludzką dostępność sztuki z jej sumieniem wewnętrznym? Oto problem dyskusji zastępczej. Nie rozwiążą go postulaty. Nie rozwiążą, bo w tym miejscu dyskusja przechodzi w dzieła, które stworzyć należy.*

kjw

# Moralność społeczna i plan gospodarczy

Odwiedził mnie dawny znajomy, który po sześciu latach powrócił z Zachodu do kraju. Wracał pod wrażeniem ostrzeżeń, gróźb i przepowiedni tych, którzy wracać nie chcą. Przez pierwsze dni po przyjeździe był pełen entuzjazmu: koleje funkcjonują sprawnie, aprowizacja lepsza niż gdzie indziej, rozmach odbudowy wszędzie widoczny, NKWD — wbrew zapewnieniom przyjaciół z Zachodu — nie chwyta ludzi.

Znalazł pracę w swym dawnym zawodzie. Teraz, po kilku tygodniach, przychodzi wstrząśnięty, bez mała przerażony: „Co się z wami stało? Gdy obejmuję posadę, powiadają mi — dostanie pan 15 000 miesięcznie, a resztę sobie pan dorobi w fabryce — a na pytanie, co to znaczy, dostaję odpowiedź — tego przecież nie mogę panu bliżej tłumaczyć. — Gdy jadę autobusem, konduktor szepcze, bym zachował bilet, a gdy wysiadam, żąda, bym mu go oddał, bo on musi „zarobić". Gdy przebywam w towarzystwie dawnych znajomych, mówi się spokojnie — bez pochwalania, ale i bez oburzenia, w formie prostego stwierdzenia normalnego faktu, że tam oto zamordowano Żyda, a tam znów wyciągnięto z autobusu i uprowadzono do lasu na „egzekucję" pasażerów, przy których znaleziono legitymacje PPR. Co się z wami stało?"

Ktoś, kto nie był w kraju przez sześć lat, chwyta łatwiej niż my ten stopień powrotu do barbarzyństwa, ten stopień nieuczciwości, który osiągnęliśmy w ciągu sześciu lat. My jesteśmy nieco stępieni. W wielu z nas narastała stopniowo i powoli — może nie obojętność, ale „obiektywizm" wobec dzikości i wobec nieuczciwości — stopniowo i powoli. A „obiektywizm", chociaż nie jest aprobatą, jest unikaniem potępienia.

W każdym społeczeństwie są chore jednostki, ale wystarcza na nie prokurator i sąd. Gdy jednak nasilenie choroby przekracza pewne granice — prokurator i sąd są bezsilni. Nie pomagają wtedy najsroższe rygory i najsroższe represje. Trzeba zacząć kurację społeczną zamiast stosować represje indywidualne.

Nie ma moralności bez podłoża społecznego, jak nie ma masowej niemoralności bez związku z podłożem społecznym. Każda moralność jest funkcją struktury społeczeństwa, jego zamożności, jego stopy życiowej, jego stosunku do prawa. Dlatego nie ma innej drogi niż zmiany w strukturze społecznej, w stopie życiowej, w stosunku do prawa. Przez sześć lat blisko naszą dewizą życiową było: giń z głodu, jeżeli chcesz odżywiać się, ubierać, mieszkać „legalnie". Przez sześć lat blisko naszą dewizą było: łam „prawo", walcz z „władzą", jeżeli chcesz zachować godność człowieka, nawet jeżeli tylko chcesz przeżyć biologicznie. Potem przyszła wielka fala klęski okupanta, która zniszczyła ostatecznie kraj i wielka, rewolucyjna zmiana jego struktury społecznej i politycznej, która stać się powinna i stać się musi punktem wyjścia dla przyszłości.

Żeby się jednak stała punktem wyjścia, musi być szanowana przez wszystkich. Nie może być u nas takich obozów i grup, które to, co jest, traktują jako prowizorium, które tych, co reprezentują państwo polskie, traktują jako wrogów, które uznają tylko nielegalne możliwości działania. Nawet u tych, którzy zwalczają to, co się stało, musi nastąpić uznanie legalności obecnego stanu rzeczy, o ile społeczeństwo nie ma się dalej staczać w czasy pogardy dla wszelkich trwałych wartości; poszanowanie tego prawa, które jest, musi być równie wielkie u tych, którzy je stosują, jak i u tych, którzy mu podlegają, równie wielkie u tych, którzy je akceptują, jak i u tych, którzy je chcą zmienić.

Aby jednak przemiana naszej struktury stała się punktem wyjścia — uczciwość musi się stać opłacalna. Pisał kiedyś mądrze Mieczysław Niedziałkowski: „Żaden nowy ustrój nie zdoła się utrzymać, o ile obniży poziom życia ludzkiego zarówno pod względem gospodarczym jak i kulturalnym". Nasz nowy ustrój nie obniżył poziomu życia, przeciwnie, stworzył niesłychane możliwości jego podniesienia w przecięciu ogólnospołecznym. Poziom życia obniżyła wojna i jej skutki. Ale to rozumieją tylko nieliczni. Przeciętny człowiek pamięta, jak było „przed wojną", porównuje z ówczesnym stanem to, co jest obecnie i wyciąga wnioski. Dlatego naczelne założenie planu gospodarczego na lata 1946—1949 — „podniesienie poziomu stopy życiowej mas pracujących powyżej poziomu przedwojennego" — jest nie tylko założeniem gospodarczym, jest także, może przede wszystkim, założeniem odbudowy moralnej i stabilizacji politycznej. Bez podniesienia stopy życiowej nie można przystąpić do leczenia chorego społeczeństwa, nie można marzyć o pełnym, bez zastrzeżeń, akceptowaniu nowego ustroju przez najszersze masy. Podniesienie stopy życiowej przezwycięży sceptycyzm, dziś jeszcze istniejący, stanie się punktem wyjścia dla odbudowy moralnej.

Przystępujemy do realizacji pierwszego planu w sytuacji wyjątkowo trudnej. Prawda, sytuacja Związku Radzieckiego była też niełatwa, gdy podejmował u siebie to samo zadanie. Był po wojnie domowej. Ale wojna domowa demoralizuje jednych, podnosi niesłychanie wysoko morale innych — wszak jest najsilniejszym wyrazem starcia się sprzecznych ideologii, wymaga największego samozaparcia od walczących. Ale Związek Radziecki miał do czynienia z materiałem ludzkim przyzwyczajonym od wieków do dyscypliny, my mamy do czynienia z materiałem ludzkim przyzwyczajonym od wieków do anarchii. Związek Radziecki miał do czynienia z jedną decydującą dziedziną gospodarczą, dziedziną państwową, kierowaną z jednego centrum — my musimy uzgadniać współpracę trzech dziedzin, państwowej, spółdzielczej i prywatnej.

Dlatego — sądzę — mniejsze mają znaczenie spory polityczne o taką czy inną ordynację wyborczą, o taki czy inny stosunek wzajemny stronnictw, jeśli przy wykonywaniu planu gospodarczego wszystkie siły polityczne kraju będą miały jeden cel i jeden program. Stosunek do planu gospodarczego wydaje mi się zasadniczym kryterium dla oceny stanowiska tych sił — nie wobec rządu, lecz wobec państwa.

**Konstanty Grzybowski**

# Pierwsze dzieło Teatru Objazdowego

Teatr Objazdowy TUR wystąpił w Krakowie z pokazem pierwszego opracowanego przez siebie dzieła, którym jest „Powrót posła" Niemcewicza. Wiele wskazuje na to, że znakomita komedia polityczno-obyczajowa okaże się wyborem trafnym, ale ostateczny sąd zależy od wyników, jakie Teatr Objazdowy osiągnie w objazdach. My, tu w Krakowie, możemy na razie mówić tylko o wrażeniach naszych, a te — powiedzmy z góry — są korzystne.

„Powrót posła" zasługuje na stałe miejsce w repertuarze wielkich naszych teatrów. O jego autorze powiedział Mickiewicz, że jest „jednym z tych wzorów, które poprzedzają nadchodzące po nich pokolenia". Dla przyszłych pionierów naszej literatury stał się on wzorem nie tylko dlatego, że przekazał im ideę postępu jako pochodnię, z którą iść im należy w mroki przyszłości, ale także dlatego, że sam doniósł tę pochodnię do miejsc, gdzie — choćby niepokoiły niejasności przy wyborze dróg, — nieodwołalnie jasno ukazuje się sam kierunek. Dotyczy to także odrębnych spraw literatury. „Powrót posła" to pierwsza (nie tylko w Polsce) próba ścisłego powiązania losów jednostek z polityką i obyczajowością, próba, której prekursowska wartość tkwić będzie w niejednym utworze przyszłych pokoleń. Ponieważ jednak wzory literackie istnieją nie po to, aby je naśladować w ich spełnieniach, lecz by przejmować od nich ukierunkowanie zamiarów, niejedna sprawa, poruszona w „Powrocie posła", inaczej odezwie się w literaturze późniejszej, ale nawet w jej innościach artystycznych jeszcze działać będzie Niemcewicz jako podnieta. Wystarczy wskazać na Fantazego i Idalię, których pokrewieństwo z Szarmanckim i Starościną na pewno Słowacki sobie uświadamiał. Niechże więc te węzły między pokoleniami literatów i węzły między pokoleniami postaci literackich ukazują się także widzom

„Powrót posła", scena z aktu pierwszego

naszych teatrów. Nie dla zadośćuczynienia nałogom historyzmu, ale dla otwarcia takich perspektyw w przeszłość, w których zrozumialszymi stają się ludzie i ich życie.

Także sam dla siebie zasługuje „Powrót posła" na zajęcie stałego miejsca w repertuarach teatralnych. Utwór ma walory wybitne. Nieprzemijająca wartość idei, trwałość typów, do których należą postacie, świetność dialogu, lapidarność określeń, przebojowość wiersza, wewnętrzna rytmiczność całości — te zalety wystarczają, aby w naszych teatrach wyszły im na spotkanie uszy wrażliwe i chłonne. Dla smakoszy rezerwuje „Powrót posła" jeszcze uroki swej budowy. Sposób, w jaki autor z tematów politycznych czy obyczajowych przerzuca się w temat akcji, ujawnia w nim mistrza. Chociaż przerzuty te załatwia niestety zbyt krótko, chociaż zaniedbuje dramat jednostek, bo nie o niego mu chodzi, lecz o jego zależność od polityki i obyczajów, chociaż powoduje tym rozległe braki w ludzkiej substancji ważnych postaci, jednak zalety ścisłości, zalety logiki, którymi obdarza to, co uważa za istotne, — imponują. Finezję wysokiej miary okazał w zakończeniu drugiego aktu, który w tym wypadku jest aktem przedostatnim, więc spełnia w rozwiązaniu akcji funkcję szczególną. Starościna, modnisia, pragnie mieć kaskadę z pięknym „prospektem", a że na upatrzonym przez nią miejscu stoi karczma i młyn, prosi męża o ich usunięcie; gdy mąż broni obu obiektów jako dochodowych, bogata żona grozi rozwodem i do tej groźby dorzuca zemdlenie. Na razie wydaje się, że ten moment, choć umieszczony w tak ważnej części dramatu, jaką jest zakończenie aktu przedostatniego, nie wiąże się z akcją, że jest tylko odgałęzieniem tematów obyczajowych i że cenne swe miejsce zawdzięcza tylko sile komizmu, sile efektu. Poznawszy w ciągu dwu aktów żelazną logikę niemcewiczowskiej budowy, dziwimy się. Ale przyodzi umotywowanie. Małżeństwo Teresy z Walerym, stanowiące wątek akcji, dochodzi do skutku, ponieważ prosi o to Starościna, a Starosta boi się, że w razie niespełnienia jej prośby żona zemdleje, albo zechce się rozwodzić. To, co w zakończeniu aktu przedostatniego dziwiło jako niezwiązane z akcją, okazuje decydujący wpływ na finałowe jej rozwiązanie. Zdziwienie ustępuje miejsca wysokiemu uznaniu, a jedno i drugie, oddzielone odpowiednim interwałem, wytwarza razem efekt wyższego gatunku.

Braki, a także zalety „Powrotu posła" stawiają reżyserię i sztukę aktorską przed wielu trudnościami. Na przykład: długa rozmowa polityczna Starosty z Podkomorzym. Co uczynić, aby jej długość nie sprowadziła teatralnej martwoty? Najwłaściwsze: obaj panowie przez cały czas rozmowy siedzą sobie w krzesłach i tylko różnymi odmianami tonacji głosowej, mimiki, gestykulacji i układu ciał wyrażają siebie tak całkowicie, że dają możliwe maksimum życia. Ale do tego trzeba aktorów-mistrzów. Nie dysponując nimi, zmuszony jest Teatr Objazdowy ożywiać rozmowę najrozmaitszymi sposobami. Te, które zastosowuje reżyseria Marii Dulęby, spełniają zadanie. Z obu aktorów prawdziwiej pokonuje trudności ten, który ma ich więcej: p. Ciecierski. Starosta nie otrzymuje od p. Dwornickiego śmiesznej przemądrzałości, nie otrzymuje śmiesznego śmiechu, którym głupiec zdradza swą niższość. Wypowiedzi Starosty nie powinny brzmieć tak jak gdyby pochodziły ze stanowiska równorzędnego stanowisku Podkomorzego, lecz powinny mieć brzmienie ułomności. Wykorzystanie wszystkiego, co w postać tę włożył autor, przyczyniłoby się do ożywienia tej trudnej części przedstawienia.

Niewykorzystanie ważnych rysów postaci należy wytknąć szczególnie p. Janusowi. Wprawdzie karykaturalne kontury Szarmanckiego pojął na ogół trafnie, ale zatracił odcienie. Szarmancki różny jest z różnymi; nieco inny powinien być, gdy mówi z Teresą, nieco inny, gdy mówi ze Starościną, nieco inny, gdy mówi z Walerym, a inny, jaskrawo inny, gdy jest sam. Komiczne przerzuty ruchu i głosu powinien mieć w rozmowie z Teresą, ile razy z jakiegokolwiek tematu wpada w temat konia, bo przecie Niemcewicz utrwalił w nim przedstawiciela tego typu ziemian, w którym kobieta i koń rozpalały równy stopień czułości. Gdy dla dostrojenia się do upodobań Starościny, blaguje, że bardzo lubi smutne wiersze i podejmuje się deklamowania elegii, powinien deklamować ją tak, żeby poprzez smutny utwór przebijały jego śmieszne radości, m. i. radowanie się końmi.

Mało wydatne rysy Podkomorzyny, Teresy i Walerego są niebezpieczeństwem tych ról, a jednak p. Babel i p. Redlich wyszły z tego niebezpieczeństwa bez szwanku. Zastanawiającym zjawiskiem jest p. Zaczyk, który pierwszą połowę frazy wierszowej mówi z interesującą powściągliwością, a drugą upuszcza, zatraca, jak gdyby w ogóle nie miał poczucia kadencji. Nie wiadomo co o tym myśleć. Może z tego być katastrofa albo jakaś nieprzewidywana wartość. Podobnie zresztą jak z nieruchliwości jego twarzy. Z ról lokaja i pokojowej mogliby p. Cebulski i p. Colonna-Walewska wydobyć więcej, gdyby reżyseria nadała ich wystąpieniom więcej charakteru.

Muzyczność mogła wnieść na scenę p. Sznerr nie tylko z okazji fałszywego zemdlenia, którego jękom dała znakomity ton i rytm, i z których uczyniła najlepszy, pełnowartościowy moment przedstawienia. Mogła wnieść ją w całą swą rolę i nawiązać tym do wspaniale rytmizowanej kreacji, jaką swego czasu stworzył Osterwa w „Fircyku w zalotach".

Na kostiumy zdobył Teatr Objazdowy kilka autentycznych ubiorów z czasów minionych, co w tym wypadku przedstawienie wzbogaca. Przeszkody niewielkiej sceny pokonał p. Stopka zwycięskim gwałtem, co nie jest byle czym, jeśli uwzględni się wysokie wymagania, jakie sobie postawił, pragnąc w szczupłej przestrzeni głównego pola akcji wyrąbać jeszcze wyloty w dookolne sąsiedztwo. Z zastrzeżeń jedno: kotara poprzeczna nie powinna czynić wrażenia drugiej kurtyny. Co prawda wydobycie z niej właściwego znaczenia zależy od sposobu jej użycia na samym początku, a reżyser niewłaściwie zaczął przedstawienie. I niewłaściwie je zakończył.

**Tadeusz Peiper**

# PRZEGLĄD PRASY

Na czele czasopism naukowych wychodzących w Polsce, stoi niewątpliwie łódzka „Myśl Współczesna", której trzy dotychczasowe zeszyty (łącznie blisko 500 stron druku) zawierają artykuły i rozprawy o zasadniczym znaczeniu. Jest to pismo najbardziej reprezentatywne dla polskiej myśli współczesnej, a kierunek jego pokrywa się z kierunkiem najbardziej żywotnego zespołu naukowców. Doniosłość roli i poważnych już osiągnięć „Myśli Współczesnej" nie może być podawana w wątpliwość. Takie studia i rozprawy z ostatniego zeszytu miesięcznika jak prof. **Czesława Znamierowskiego** („Analiza oceny moralnej") lub prof. **Adama Schaffa** („Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej") — stanowią trwałe osiągnięcia czasopiśmiennictwa i nauki polskiej.

Czasopism naukowych *sensu stricto* brak nam niemal zupełnie, przeważają czasopisma popularno-naukowe, więcej znane, jak „Język Polski", „Wszechświat", „Życie Gospodarcze", „Życie Słowiańskie", „Życie Szkoły", i mniej znane, jak „Wiadomości Naukowe", „Biuletyn Socjologiczny", „Urania", „Przegląd Geograficzny", „Polski Tygodnik Lekarski". Odrębne a szczególne miejsce wśród czasopism naukowych zajmuje krakowskie „Życie Nauki", którego zeszyt za czerwiec — niedobrym zwyczajem, zakorzenionym w Krakowie — wydano we wrześniu. Co prawda, trzeba przytoczyć wyjaśnienie redakcji, że spóźnienie to „nie wypływa ani z braku materiału, ani z opieszałości, ani z braku pieniędzy, lecz z przyczyn natury technicznej, jakimi się tłumaczy drukarnia". Jeśli tak jest, jeśli istotnie przyczyną rażących opóźnień „Życia Nauki" są trudności związane z obsługą drukarską, winny być one opanowane i usunięte. Niewątpliwie „Życie Nauki" jest czasopismem pożytecznym i potrzebnym.

„Życie Nauki" jest „miesięcznikiem naukoznawczym". Jego celem jest „szerzenie wiedzy o nauce we wszystkich jej aspektach, zarówno od strony metodologicznej jak socjologicznej, zarówno historycznej jak organizacyjnej, o nauce jako narzędziu władania światem, i o nauce jako podstawie poglądu na świat". Ten aż nadto obszerny program sprowadza „Życie" do właściwej miary. Lecz i ona wystarcza, by pismu zapewnić uznanie. „Życie Nauki" przynosi sumienne informacje, a zarazem rozbudowuje systematycznie dział artykułów. Na uwagę zasługują: **Mieczysława Choynowskiego** „Energia atomowa a przyszłość świata" oraz **Eugeniusza Brzezickiego** „O potrzebie rozszerzenia typologii Kretschmera". Choynowski streszcza wywody laureata Nobla, A. H. Comptona, który, podobnie jak inni uczeni współcześni — Einstein, Huxley, Rubinstein, Oliphant, nawołuje do międzynarodowego rozsądku i umiarkowania, do skierowania wynalazczości na tory pozytywnej współpracy; Brzezicki poszerza podział typologiczny Kretschmera o nowy typ: skirtotymika — b. często pojawiający się w Polsce, Francji i Włoszech. Uderzają skłonności rasistowskie autora.

Z czasopism popularno-naukowych najbardziej interesująco przedstawiają się „Problemy" i „Wiedza i Życie", a w swoim ograniczonym zakresie również „Meander". Trudny postulat łączenia nie tylko w umiejętny ale i w artystyczny sposób ścisłości informacji naukowych, wysokiego poziomu ogłaszanych artykułów z ich celem popularyzacyjnym i formą przystępną, unikającą jak ognia ezoteryzmu i tzw. żargonu naukowego — udaje się niemal bez reszty wypełnić „Problemom". Nowy (6) zeszyt tego pomysłowo redagowanego, a bez oglądania się na koszty wydawanego miesięcznika należy uznać za wzorowy. Łącząc wysokie poczucie aktualnej wagi tematów z umiejętnością ich przedstawienia — „Problemy" muszą stanowić dla każdego lekturę nie tylko pouczającą, lecz i zajmującą w wysokim stopniu. Można by kolejno wymieniać artykuły ostatniego zeszytu, przy każdym dodając słowa pozytywnej oceny. Gorąco polecamy „Problemy" uwadze czytelników.

„Wiedza i Życie", stare wydawnictwo TUR-u o dłuższej tradycji, dorównuje „Problemom" pod względem doboru autorów i poziomu opracowań. Jeśli zajrzymy do pokaźnego, 200 stron liczącego, ostatniego podwójnego zeszytu „Wiedzy i Życia", będziemy musieli stwierdzić wielostronność opublikowanego materiału i jego dobry poziom. Dla orientacji: o wyższej matematyce pisze **D. Szymkiewicz**, o plastyce **M. Wallis** i **N. Samotyhowa**, o muzyce **J. W. Reiss**, o typach migracji **S. Kowalski**, o dwoistości natury ludzkiej **S. Ossowski** (b. interesująco), o zagadnieniach literackich **R. Matuszewski**, teatralnych **Z. Kałużyński**, politycznych **L. Przemski**, w dziale nauk przyrodniczych spotykamy nazwiska **J. Fudakowskiego, J. Morgentalera** i **K. Waltera** — zatem pióra fachowe i wprawne.

Z natury rzeczy wydawnictwo kładzie nacisk na socjologię i zagadnienia gospodarcze: **Jan Szczepański** omawia poznawanie faktów społecznych, **Jan Strzelecki** socjalistyczny humanizm, **H. Jabłoński** przypomina działalność „Ludu Polskiego" po powstaniu listopadowym, **A. Bardach** charakteryzuje rolę pieniądza i kredytu w gospodarce społecznej, **J. Hochfeld** samorządu funkcjonalnego, **J. Wierzbicka** kształcenia społeczno-politycznego.

Umyślnie pozwoliłem sobie dokładniej wyliczyć zawartość ostatniego zeszytu „Wiedzy i Życia", wyręczając redakcję, która spisu treści nie podaje (uchybienie, godne nagany) — chciałbym bowiem zachęcić do zapoznania się również i z tym czasopismem, które zasługuje na bliższą znajomość, a nie często może być omawiane w niniejszym przeglądzie.

Wreszcie „Meander", czasopismo pełne wdzięku, przynosi w każdym numerze interesujące przyczynki do wiedzy o kulturze antycznej, dobre przekłady poezji greckiej i rzymskiej itp. W ostatnim numerze „Najstarsze wiadomości o Słowianach" (fragmenty z pisarzy bizantyńskich) świadczą, że zainteresowanie Słowiańszczyzną wciąż u nas rośnie i trafia nawet do czasopism skądinąd odległych od tych spraw. Tematem słowiańskim — uwagami historyczno-geograficznymi **Jana Czekanowskiego** „O panslawizmie, neoslawizmie, Polsce i Rosji" — otwierają również „Problemy" swój ostatni zeszyt.

**jaszcz**

# O POLSKIM MUZEALNICTWIE

Szkody i zniszczenia, które ostatnia wojna, a zwłaszcza okupacja niemiecka, wyrządziły polskiemu muzealnictwu, są bardzo dotkliwe. Nikomu zresztą w kraju mówić o tym nie trzeba, zniszczenie dokonywało się na naszych oczach. Ale od pierwszej chwili po wyzwoleniu, jeszcze wcześniej, bo przy rządzie lubelskim, powstawała organizacja, która miała objąć obszar całego państwa i odszukać rozgrabione mienie kulturalne. Dziś Naczelna Dyrekcja Zbiorów Państwowych i Konserwacji Zabytków czuwa nad stanem polskiego muzealnictwa. Równocześnie działa i instytucja społeczna, Związek Muzeów w Polsce, który obejmuje wszystkie muzea polskie (przeszło pięćdziesiąt). Związek ten posiada dawną przeszłość, jeszcze przed wojną 1914 r. czynił pierwsze próby zorganizowania muzeów na wszystkich ziemiach polskich. Rola Związku Muzeów jest bardzo doniosła w kształtowaniu się naszego muzealnictwa, jednoczy bowiem wszystkie muzea różnych typów, wielkie, centralne, a także lokalne i regionalne, gdyż wszystkie one spełniają tę samą rolę i służą temu samemu celowi.

Tegoroczny Zjazd Delegatów Związku Muzeów w Nieborowie we wrześniu br. miał specjalne zadanie. Główny problem stanowiła polityka w dziedzinie muzealnictwa, ustalenie jej programu i jego rozplanowanie. Uchwalono szereg wniosków, które po rozpatrzeniu obecnej sytuacji polskiego muzealnictwa sformułowano jednomyślnie i postanowiono je przedłożyć Komisji Kulturalnej KRN, ministrowi Kultury i Sztuki oraz tym ministrom, których resortom podlega muzealnictwo.

Na pierwszy plan wysunęły się oczywiście postanowienia, których domaga się nowe życie. Chodzi o stworzenie Muzeum Martyrologii Polskiej w okresie najazdu hitlerowskiego w latach 1939—1945 w Warszawie, niezależnie od muzeów w Oświęcimiu i na Majdanku. Z szczególnym aplauzem przyjęto wniosek o stworzenie muzeum, które winno stać się symbolem. W zamku Malborskim, dawnej siedzibie groźnego krzyżactwa, zorganizować należy muzeum, które by zobrazowało wielowiekową walkę narodów słowiańskich z naporem germańskim. Muzeum to pozostawałoby pod administracją Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie, ale czuwałby nad nim komitet złożony z przedstawicieli wszystkich narodów słowiańskich. W Warszawie należało by też zorganizować Muzeum Życia i Kultur Narodów Słowiańskich.

Pierwszorzędne zagadnienie stanowi też zorganizowanie muzealnictwa w Gdańsku i na Ziemiach Odzyskanych. Uchwalono zasadę tworzenia nowych muzeów z uwzględnieniem polskiego interesu naukowego, oświatowego i narodowego, bowiem rekonstruowanie dawnych muzeów niemieckich należy odrzucić. Zbiory zaś dawnych muzeów niemieckich winny być zużytkowane przy tworzeniu nowych muzeów na Ziemiach Odzyskanych. Do pierwszych, które należało by zorganizować — mają należeć: Muzeum Piastowskie w Lignicy i muzea we Wrocławiu i w Gdańsku. Te dwa ostatnie będą wielodziałowe, podstawą muzeum wrocławskiego miałyby się stać zbiory sztuki dawnej i współczesnej. Gdańskie Muzeum wielodziałowe pomyślane jest jako muzeum okręgowe.

W muzeach na Ziemiach Odzyskanych postanowiono rozbudować działy: prehistoryczny i wczesnodziejowy oraz etnograficzne, jako że materiał ten wiąże się najściślej z polską przeszłością tych obszarów i najlepiej ją dokumentuje. Działy przyrodnicze, gospodarcze i przemysłowo-techniczne, związane z potrzebami i zainteresowaniami polskiej ludności, wejdą również w zakres tych muzeów.

Zjazd muzeologów powziął jedną uchwałę, która jest szczególnie doniosła dla naszego życia artystycznego. Zespoły dzieł sztuki polskiej powinny stać się podstawą muzeów na Ziemiach Odzyskanych. Obok kompletowania dzieł artystów ubiegłych epok, co wobec zniszczeń wojennych będzie utrudnione, dzieła artystów żyjących, dobierane starannie, staną się wymownym dokumentem polskiej kultury. Państwo, przez poważne zakupy dzieł sztuki na salonach ogólnopolskich i wystawach regionalnych, które przekaże następnie muzeom, wypełni w sposób najwłaściwszy swą rolę mecenasa sztuk plastycznych i przyczyni się do ich rozwoju. Równocześnie powstaną zbiory sztuki, które zbliżą do niej najszersze masy.

Osobny postulat sformułowano dla Zgorzelic, gdzie miałoby powstać Muzeum Łużyckie wraz z Instytutem Badania Łużyc.

Równie wiele uwagi poświęcono sprawom związanym z muzeami już istniejącymi. Tu na plan pierwszy wysuwa się ukończenie nowego gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie, czemu wypadki wojenne stanęły na przeszkodzie, oraz odbudowa jednego z zabytkowych gmachów Warszawy dla Państwowego Muzeum Archeologicznego. Rozpatrywano też sprawy budżetowe i uznano, że w tym zakresie muszą nastąpić zasadnicze zmiany, gdyż przy dotychczasowych uposażeniach muzea nie mogłyby wypełnić swych wielkich obowiązków wobec kultury polskiej, społeczeństwa i spełnić wielkich zadań państwowej wagi. Ustalono dalej, że centralnym polskim zbiorem sztuki starożytnej stanie się dział sztuki starożytnej Muzeum Narodowego w Warszawie, a sztuki Dalekiego Wschodu — Muzeum Narodowe w Krakowie. Zjazd wyraził przekonanie o konieczności powstania Muzeum Etnologicznego, które by obejmowało kultury ludów całego świata.

Główną i nieustanną troską wszystkich polskich muzeologów są zabiegi o zwrot polskiego mienia kulturalnego, uważane za jedno z najważniejszych zadań państwowych chwili obecnej, jak i też o odszkodowania za straty poniesione bezpowrotnie przez muzea polskie. Zjazd wzywa odpowiednie czynniki państwowe, a w szczególności Centralną Komisję do Spraw Odszkodowań, powołaną przez Radę Ministrów, by w toku rokowań uwzględniono dezyderaty odszkodowawcze przedstawione przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Równie aktualną sprawą jest zachowanie dla narodu polskiego artystycznego i kulturalnego mienia; stąd apel do każdego obywatela polskiego, a w szczególności do wszystkich posiadaczy dzieł sztuki i pamiątek przeszłości, do wszystkich antykwariuszy itp., aby nie wywozili i nie sprzedawali dzieł sztuki i pamiątek przeszłości za granicę, oraz by takim sprzedażom i wywozom zapobiegali.

Osobne zagadnienie stanowią muzea regionalne i lokalne na ziemiach dawnych, jak też na Ziemiach Odzyskanych. Przystosowanie ich do wymogów społeczeństwa, opracowanie i ustalanie sieci muzeów jest już przedmiotem rozważań i studiów. Ostateczne ich omówienie będzie głównym przedmiotem następnego Zjazdu Delegatów Związku. Odpowiednio opracowany materiał służyć wtedy będzie jako substrat do ustawy muzealnej.

Pokrótce omówione wyniki ostatniego Zjazdu Związków Muzeów dostatecznie mówią o wadze i znaczeniu polityki muzealnej i zadaniach, jakie ma spełnić.

W końcu nie można też pominąć jednego wniosku: Zjazd wyraził przekonanie, że władze państwowe i samorządowe położą w najbliższym czasie kres samowoli Wydziału Architektury w Krakowie, bezprawnie nie dopuszczającego Muzeum Etnograficznego do zajęcia przyznanych mu pomieszczeń na Wawelu.

**hb**

**Następny numer „ODRODZENIA" ukaże się w podwójnej objętości**

# FRANCUSKIE NASTROJE

*W Paryżu wychodził lewicowy dziennik francuski; i dziś wychodzi nadal, ale nie można go już nazwać ani lewicowym, ani francuskim. W redakcji tego dziennika zjawił się pewnego dnia pewien macher-wydawca, stojący na czele jednej z filii amerykańskiego wydawnictwa Hearsta. Dodajmy, że łączyły go przedtem bliskie stosunki z vichystami. Agent hearstowski zaproponował, że włoży w dziennik wielką sumę, z tym jednak zastrzeżeniem, że będzie mógł wpływać na jego kierunek. Transakcja doszła do skutku. Dziennik jest obecnie finansowany przez wydawnictwo Hearsta przy współudziale banku Saint-Fal. Ton dziennika zaczął się zmieniać — na razie zmienił się ledwie widocznie — lecz czy mógłby ktoś nawet wątpić, że dziennik ten utracił w istocie swą niezależność i że dalszy jego upadek jest nieunikniony?*

*Dam inny przykład. Paryskie biuro hearstowskiej agencji „International News Service" wzięło faktycznie pod swą kontrolę socjalistyczną agencję „Agence d'éditions et de presse".*

*Ci, którzy kupują dzienniki i agencje, nie gardzą również możliwością pozyskania sobie poszczególnych dziennikarzy. Nazwiska wielu dziennikarzy francuskich, którzy z podejrzaną gorliwością piórem swym służą blokowi anglo-amerykańskiemu, stały się dziś publiczną tajemnicą.*

*Bulwarowa gazeta „Etoile du soir" rozpisuje się na pierwszej stronie, ogromnym pismem, o wielkich zaletach amerykańskich dobroczyńców: pewna bogata amerykańska dobrodziejka podjęła się zaopatrywać całą francuską wieś. „Ten sam dziennik systematycznie znieważa Związek Radziecki i wzywa Francję — by orientowała się na blok anglo-amerykański. Jakaż to grubo szyta robota!*

*Zresztą i same koła anglosaskie działają z prostolinijną bezceremonialnością. Ile kosztuje chociażby udzielona rządowi francuskiemu pożyczka amerykańska, podpisana w przededniu ostatniego referendum! Amerykańskie kartele nabywają francuskie przedsiębiorstwa, amerykańscy turyści skupują stare francuskie pamiątki — unikaty. I w Paryżu nie uważa się za anegdotę historii, znanej szeroko i opublikowanej nawet w piśmie „Nuit et Jour" o tym, jak to dwaj sierżanci amerykańscy chcieli kupić antyczną statuę w Luwrze i pytali o cenę Venus z Milo.*

*Anglicy nie mają takich możliwości jak ich amerykańscy partnerzy; muszą więc działać stosując inne metody. W szczególności wywierają oni nacisk na Francję, regulując dostawy węgla i dopływ energii elektrycznej z Ruhry. Oficjalny organ francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych „Monde" zamieszcza artykuł Waltera Hilla zabiegającego o podpisanie długoterminowej ekonomicznej umowy angielsko-francuskiej. Za podstawę projektowanej umowy proponuje Hill przyjąć „podział pracy" między Anglią i Francją, uzupełniony przez polityczne przymierze tych dwóch krajów.*

*Łatwo sobie wyobrazić, jaki to gospodarczy „podział pracy" może się ułożyć pomiędzy Anglią i Francją; pierwsza wytwarza obrabiarki, samoloty, okręty, parowozy — druga, utraciwszy w czasie wojny znaczną część swego przedwojennego ciężkiego przemysłu, zdolna jest dziś rzucić na rynek światowy głównie modne ubiory, perfumy i wina. Podobny „podział pracy" odpowiadałby w pełni planom pewnych kół anglosaskich, które byłyby nie od tego, żeby z Francji stworzyć coś w rodzaju bazy turystycznej, zrobić z niej dostawcę przedmiotów zbytku i przyczepkę do bloku anglosaskiego.*

*Jeszcze Clemenceau wyrażał w swoim czasie obawę co do możliwych następstw sojuszu anglo-francuskiego: obawiał się, że w tym sojuszu Francji przypadnie rola konia, a Anglia odgrywać będzie rolę — dżokeja. Czasy się zmieniły, ale londyński wariant projektu sojuszu anglo-francuskiego pozostał bez zmian. Pewne siły działają za politycznymi kulisami Francji w kierunku odpowiadającym blokowi anglosaskiemu. Dowodem tego jest chociażby zachowanie się delegacji francuskiej na konferencji pokojowej.*

*Zwolennicy pełnego wprzęgnięcia Francji do bloku anglosaskiego prowadzą zaciętą kampanię przeciw francusko-sowieckiemu paktowi o sojuszu i wzajemnej pomocy. Niestety, ostatnim krzykiem mody paryskiej stało się znieważanie paktu francusko-rosyjskiego i rzucanie oszczerstw na Związek Radziecki. W dzienniku „Aurore" dziennikarz Jean Pio, współpracujący za Niemców z przywódcą kolaboracjonistów Deat, stwierdza: „Należy przyznać, że — z naszego punktu widzenia — sojusz francusko-sowiecki przyniósł nam tyle rozczarowań w ciągu osiemnastu miesięcy, że nie zachęca to nas, byśmy przywiązywali do niego szczególną wagę"...*

*Wolno spytać: jakie to mianowicie rozczarowania przyniósł panu Jean Pio sojusz francusko-sowiecki? Czy może to, że w czasie jego trwania Armia Czerwona razem z wojskami aliantów ostatecznie rozbiła hitlerowskie Niemcy? Czy może Pio ma na widoku względy merkantylne, które dla niego i jemu podobnych wiążą się ściśle z pojęciem sojuszu między państwami?*

*Siły, które już raz popchnęły Francję na drogę katastrofy, znowu zaczynają działać. Czy brudna gra uda się im po raz wtóry? W swoich kalkulacjach nie biorą oni wcale pod uwagę narodu Francji.*

*Naród francuski nie zapomniał i nie zapomni nauczki minionych lat. I nie zgodzi się na to, co usiłuje zrobić „dwieście rodzin" wraz ze swymi kreaturami — cofnąć wstecz wskazówki na zegarze historii.*

(„Prawda", 23. IX. 1946)

# TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

**PROZA**

**Jerzy Andrzejewski.** Noc. Opowiadania. Wydanie II. Warszawa, „Czytelnik", 1946; str. 220. — 200 zł.

**Balzac.** Komedia ludzka. Dwaj poeci. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Warszawa, „Książka", 1946; str. 172. — 100 zł.

**Tadeusz Breza.** Mury Jerycha. Powieść. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 334. — 300 zł.

**Karol de Coster.** Osobliwe przygody Dyla Sowizdrzała. Z przedmową **Romain Rollanda.** Tłumaczył **Przecław Smolik.** Wydanie I zupełne. Łódź, „Książka", 1946; str. 484. — 250 zł.

**Ilia Erenburg.** Upadek Paryża. Tłumaczył **Paweł Hertz.** Łódź, „Książka", 1946; str. 477 i 3 nl. — 300 zł.

**Arkady Fiedler.** Dziękuję ci, kapitanie! Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 238 i 4 nl. — 220 zł.

**Agot Gjems-Selmer.** Nad dalekim, cichym fiordem. Powieść dla młodzieży. Przekład **Janiny Mortkowiczowej.** Łódź, „Książka", 1946; str. 127 i 1 nl. — 70 zł.

**M. W. Gogol.** Przygody Czyczykowa albo Martwe dusze. Przekład **Władysława Broniewskiego.** Bydgoszcz, „Książka", 1946; tom I, str. 266 i 2 nl. — 160 zł.

**Pola Gojawiczyńska.** Stolica. Warszawa, Warszawskie Towarzystwo Wydawnicze, 1946; str. 302. — 300 zł.

**Paweł Hulka Laskowski.** Księżyc nad Cieszynem. (Wspomnienia z lat niewoli i dni wyzwolenia). Katowice, „Literatura Polska", 1946; str. 278 i 2 nl. — 150 zł.

**Jarosław Iwaszkiewicz.** Stara cegielnia. Młyn nad Lutynią. Opowiadania. Warszawa, „Panteon", 1946; str. 144. — 140 zł.

**Jarosław Iwaszkiewicz.** Nowa miłość i inne opowiadania. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 237 i 5 nl. — 250 zł.

**Zygmunt Jurkowski.** Wielki egzamin. Kraków, Eugeniusz Kuthan, 1946; str. 323 i 1 nl. — 300 zł.

**Zygmunt Kałużyński.** Kanikuła. Fantazja dramatyczna w dziewięciu scenach. Łódź, „Czytelnik", 1946; str. 79 i 1 nl. — 50 zł.

**Literatura na emigracji.** Antologia „Nowej Polski" pod redakcją **Antoniego Słonimskiego.** Łódź, „Poligrafika", 1946; str. 380 i 4 nl. — 450 zł.

**Izabella Lutosławska-Wolikowska.** Córka. Powieść. Wydanie III. Warszawa, Eugeniusz Kuthan, 1945; str. 260 i 4 nl. — 260 zł.

**Antoni Makarenko.** Poemat pedagogiczny. Tłum. **B. Rafałowska.** Łódź, „Książka", 1946; str. 284 i 2 nl. — 120 zł.

**Stefan Otwinowski.** Czas nieludzki. Powieść. Katowice, „Oficyna Wydawnicza", 1946; str. 130. — 130 zł.

**Stanisław Piętak.** Front nad Wisłą. Cykl opowieści. Warszawa, „Czytelnik", 1946; str. 162. — 155 zł.

**Zenon Wł. Posner.** Skreślone życie. Tel-Aviv, 1943; str. 119 i 1 nl.

**Adolf Rudnicki.** Koń. Łódź, „Książka"; str. 23 i 1 nl.

**Adolf Rudnicki.** Major Hubert z armii Andersa. Łódź, „Książka", 1946; str. 27. — 15 zł.

**Adolf Rudnicki.** Wrzesień. Łódź, „Książka", 1946; str. 67 i 1 nl. — 35 zł.

**Zbigniew Starowicz.** Sieradz, miniatury antyczne. Nowele. Sieradz, 1946; str. 30.

---

W poprzednim 41 (98) numerze „Odrodzenia" z dnia 13 października 1946 r.: **Franciszek Gil:** Kalosz proletariusza i pancerz chłopa. — **Jan Huszcza:** Ziemia młodości. — **Seweryn Pollak:** Godzina życia. — **Tadeusz Sokół:** Rozmowa ze Staffem. — **Wacław Kubacki:** Heroiczne pokolenie. — **Marian Jachimowicz:** Pierścień. * * * Powrót. * * * — **wn:** O teatr ambitny. — **Tadeusz Breza:** Portret Balzaka. — **Stanisław A. Majewski:** Wytyczne i podstawy polskiego planu gospodarczego. — **Paweł Konrad:** Wstydliwy głos dyletanta. — **Zbigniew Drzewiecki:** XX Festiwal Muzyki Współczesnej w Londynie. — **Józef Sieradzki:** Jeszcze o Mackiewiczu. — **Adam Mauersberger:** Listy Krakowskie i Biblioteka Jagiellońska. — **Tadeusz Konwicki:** Obrazki wsi wojennej. — **Tadeusz Mrozowski:** Poczta, która jest. — **kjw:** Szkoła krytyków: Nowy gwiazdozbiór. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — **Stanisław Nowaczyk:** Podręcznik dla zakładów kształcenia nauczycieli. — **gi:** Nieobecni Słowianie. — **js:** Z gór jeszcze nie zeszły pleśnie. Przemysł energetyczny. — **Konstanty Grzybowski:** Anglicy a nowa Polska. — **wn:** Kronika kulturalna Austrii. — **jaszcz:** Czyżby lucidum intervallum? — **„i":** Lex Baudelaire. — Nagroda plastyczna. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — **Kazimierz Wyka:** Duchy poetów podsłuchane. — **Z. Lengren:** Literatura satyryczna (rys.). — **jaszcz:** Z siłą orkanu. — **gi:** Hemingway i dwie ręce Niemców. — **tr:** „Niedziela" Walentego Majdańskiego. O poezji proroków. — 12 ilustracji. — 12 stron.

## „Stary dworek" A. Ważyka

W Łodzi w Teatrze TUR odbyła się prapremiera „Starego dworku" A. Ważyka. Na zdjęciu: WŁADYSŁAW STASZEWSKI (Michał Stanicki), JANINA MACHERSKA (pani Stanicka) i JÓZEF WĘGRZYN (Lalewicz)

# TEATRZYK „SIEDEM KOTÓW"

**Program: „3 razy miau"**

Jak sobie przypominam — mocnym atutem „Folies Bergères" i „Casino de Paris" była nagość i piosenki z towarzyszeniem harmonii, „Wintergartenu" w Berlinie — akrobacje, żonglerka i dowcip „kleinbürgerlich", „Palladium" w Londynie — tak samo taniec akrobatyczny, muzyczny humor i cockney-spell. To jedno skrzydło teatrzyków, w ścisłym tego słowa znaczeniu „varieté". Był i poważniejszy odłam tego gatunku — kabaret literacki, wywodzący się od „Siniej Pticy", którego bodaj jedynym przedstawicielem w Polsce był lwowski „Semafor", robiony przez Stanisława Maykowskiego. Typ teatrzyku warszawskiego ustalił się w tradycji „Qui pro quo", zjawiska nader atrakcyjnego. W czym taki teatrzyk celował? W sentymentalnej piosence, w szmoncesie i w dowcipie politycznym.

Nie łatwo jest kontynuować tę linię. Szmonces zniknął ze scenki, trudno się śmiać nad grobem, sentymentalna piosenka wymaga nowej interpretacji oraz gwiazd pierwszej wielkości, które wytworzyłyby wokół siebie specyficzny „klimacik". Nie dziwmy się więc, że „Siedem kotów" musi trochę rozczarować. Ale to przecież pierwszy dopiero program, trzeba się rozrobić, wypróbować reakcję publiczności i samemu się wyszkolić. „Pracujcie — jak brzmiał dowcipny telegram ks. Piwowarczyka na otwarcie — cudów nie ma".

Otóż „exposé" programu (tekst Afi) zapowiadało wcale obiecująco pikantny dowcip polityczny. Conférencier p. Waldorff ,nie kontynuował tej linii, co było jego obowiązkiem (jaki niezrównany w tym był Jarossy!). Szkoda. Najwięcej komizmu udało się wydobyć Kwiatkowskiej i Olszy z tekstów charakterystycznych. „Sierotka" Gałczyńskiego i „Całują pana" (Kitschman) czy typy warszawskie w opracowaniu Olszy — to „pewne numery" na przedwojennym poziomie. Piosenka sentymentalna natomiast była bądź słabym odbiciem Zosi Terné („Najpiękniejszy księżyc") w interpretacji Alicji Kamińskiej, bądź czymś łamiącym się w niezrozumiałej makabrze („Ballada irlandzka"). Uważam, że teksty Gałczyńskiego są przeważnie za trudne na scenkę, nie dają widzowi możności takiego rozejrzenia się w sensie — jak przy cichym czytaniu. Dopiero nostalgia i erotyzm w „Dłoniach Krystyny" (pięknych) czy mizoginizm w „Kociubińskiej Hermeneglidzie" (obydwa utwory recytowane przez poetę) utorowały sobie drogę do publiczności.

Ze skeczów najlepsze były „blackouty", czyli krótkie inscenizowane kawały. Ton moralizatoraki w „Rozmowie między panem, wójtem i plebanem" przebijał zanadto wyraźnie, a „Buraczki" (Kwaśniewskiego) przy dobrym, choć nie nowym pomyśle trwały za długo. Dyr. Elle, znany z dobrego smaku, stanowczo powinien więcej od p. Kwaśniewskiego wymagać.

Chórzyści Kwak (Kasiewicz, Bielenia, Biliński, Nowak) — muzykalni, będą popularnymi rewelersami. Jeszcze tempo można by usprawnić, a wziąć na warsztat efektowniejsze piosenki.

O muzyce dałoby się powiedzieć, że została potraktowana zbyt jednostronnie. Jeden kompozytor (w pierwszym programie Anda Kitschman), nawet jeśli jest niezły, nie potrafi wypełnić całego wieczoru. Przynajmniej dwie piosenki powinny być o różnym i swoistym blasku, i tylko wtedy dają rękojmię, że pójdą w publiczność.

Dekoracje Mariana Ellego nowoczesne, właściwe.

**Marian Promiński**

## SCHACHT — WSPÓŁPRACOWNIK „FOREIGN AFFAIRS"

*Dr Hjalmar Schacht, z pochodzenia — Duńczyk, potem Niemiec, w czasie pierwszej wojny światowej szef bankowości niemieckiej w okupowanej Belgii, później szef delegacji niemieckiej na Konferencję Paryską 1919 r., gdzie zwycięsko wybronił swych rodaków od płacenia reparacyj, hitlerowski minister gospodarki i prezydent Banku Rzeszy, oskarżony w procesie norymberskim i uniewinniony (potem może znowu szef delegacji niemieckiej, który wybroni swych rodaków od płacenia reparacyj — a jeżeli dożyje, to może kiedyś szef bankowości niemieckiej w okupowanym Londynie) — otóż tenże Hjalmar Schacht ma jeszcze jedną kartę w swej przeszłości: był współpracownikiem najpoważniejszego politycznego pisma angielskiego „Foreign Affairs". Ogłosił tam w grudniu 1936, właśnie wtedy, gdy był hitlerowskim ministrem, artykuł o koloniach niemieckich. Tezą artykułu było, że dwaj z „głodnych" tego świata — Włochy i Japonia, są już nasyceni: pierwszy ma Abisynię, drugi Chiny. Pozostał tylko jeden głodny: Niemcy. Niemcy muszą posiadać surowce. „Niemcy muszą produkować potrzebne im surowce na ziemiach, które pozostają pod ich zarządem. Na ziemiach tych waluta niemiecka musi być walutą obiegową". Problem kolonij dla Niemiec „nie jest problemem prestiżowym, nie jest problemem imperialistycznym, jest problemem gospodarczej egzystencji".*

*Obecnie mówi się na Zachodzie o konieczności odbudowy przemysłu niemieckiego. Poczekajmy kilka lat, może wtedy znowu przeczytamy w „Foreign Affairs" artykuł Schachta, iż nie ma przemysłu bez surowców a surowców nie ma bez suwerenności politycznej nad terenem ich pochodzenia.* gi

## NAGRODA FILMOWA

JAROSŁAW BRZOZOWSKI którego film oświatowo-naukowy „Wieliczka" otrzymał nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Cannes

## „Stary dworek" A. Ważyka

JAN ŚWIDERSKI (Galiniec) i KAZIMIERZ DEJMEK (porucznik)

# ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

**II. Koncert Filharmonii**

Jest rzeczą niezmiernie przykrą już u progu nowego sezonu, gdy wszystko zdawało się wróżyć podniesienie poziomu artystycznego koncertów filharmonicznych, zaczynać pracę recenzencką od ostrych słów krytyki; a jednak już ten drugi wieczór zmusza do stwierdzenia pewnych zbyt niepokojących objawów, by można przejść nad nimi do porządku. Moje zastrzeżenia dotyczą metod odtwarzania na koncertach filharmonicznych utworów polskich kompozytorów współczesnych, w konkretnym wypadku Suity Franciszka Skołyszewskiego. Jest rzeczą do dyskusji, czy utwór Skołyszewskiego należy do rzędu tych, które utorują sobie drogę w przyszłości. Dość trudno o tym sądzić, nie usłyszawszy tego utworu w całości, a tylko 2 części z Suity, która liczy ich pięć. Jej nikła motywika, monotonia szaty harmonicznej i instrumentalnej, pewne maniery kompozycyjne zdają się raczej wskazywać, że — mimo pewien niewątpliwy poziom kompozytorskiego rzemiosła — jest to rzecz napisana bez wewnętrznej konieczności. Wszystko to nie przesądza jednak faktu, że włączonego do programu utworu nie wolno pokazywać w tak zniekształconej formie. Powstaje bowiem wtedy obraz zupełnie fałszywy, który nie może być miarodajny dla jakiejkolwiek obiektywnej krytyki, bądź pozytywnej bądź negatywnej. Ponieważ takie wypadki zdarzają się w ostatnich czasach w Filharmonii Krakowskiej zbyt często, należy się obawiać, by nie przeszły w stałą metodę, niedopuszczalną w instytucji o poważnych zamierzeniach artystycznych (skrót „Harnasi" na Festiwalu czerwcowym!). Wydaje mi się również, że do każdego, włączonego do programu utworu należy przystępować z pewnym pietyzmem; szacunek dla dzieła muzycznego jest pierwszym warunkiem, jakiego się wymaga od kulturalnego wykonawcy bez względu na to, czy jest nim solista czy członek orkiestry. Tymczasem Suity Skołyszewskiego nie grano nawet poprawnie... widocznie źle przeczytano tekst, a postawa muzyków w orkiestrze była wyraźnie lekceważąca. Taki stan rzeczy uważam za absolutnie niedopuszczalny.

Symfonia Brahmsa, która miała być kulminacyjnym punktem programu, niestety nie przemówiła także na ostatnim koncercie tak, jak tego należało oczekiwać. W. Bierdiajew, który zawsze tak świetnie panuje nad orkiestrą, nie wydobył z muzyki Brahmsa tego piękna, które czyni zeń jedno z kapitalnych dzieł literatury poromantycznej. Brak jej było mocy, szerokiego oddechu, a przede wszystkim tego głębokiego skupienia, bez którego Brahms przestaje być sobą.

Znana pianistka polska, Nadzieja Padlewska (gość z Poznania), wystąpiła jako solistka, wykonując Czajkowskiego Koncert B-moll, jej opanowanie techniczne i muzyczne wzbudza wysoki szacunek. Charakterystyczny dla tego Koncertu kontrast czynnika lirycznego i wirtuozowskiego, potężnych partii pasażowych i oktawowych oraz delikatnej kantyleny artystka wydobyła trafnie, za co licznie zebrana publiczność nagrodziła ją nie milknącymi oklaskami.

**Stefania Łobaczewska**

# „WIELKANOC" ST. OTWINOWSKIEGO W ŁODZI

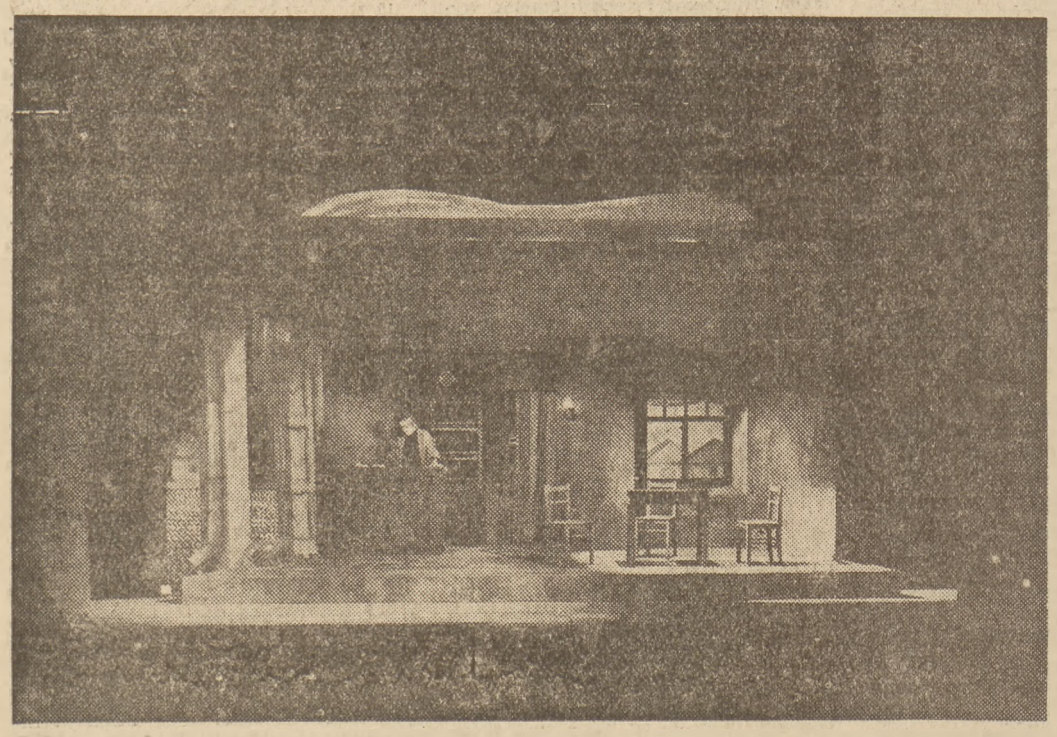

Scena z aktu pierwszego z prapremiery „Wielkanocy" St. Otwinowskiego w Państwowym Teatrze Wojska Polskiego

JÓZEF MALISZEWSKI (dr Przypkowski), HELENA PUCHNIEWSKA (gosposia), LEON PIETRASZKIEWICZ (prof. Siciński) i HALINA KOSSOBUDZKA (Ewa Freud)

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 15471 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".